№ 41. Warszawa, dnia 12 Października (30 Września) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ODSZCZEPIEŃSTWO NAJWIERNIEJSZYCH.

„Kiedy ty bijesz moich żydów, ja będę bił twoich." Tak zdają się wołać do siebie, niby anegdotyczni furmani, ks. Bismark i hr. Waldersee, którzy biczami dziennikarskimi smagają nawzajem swoich poplecznikow. W Niemczech, w kraju wielkiej karności i dbałości o pozory zewnętrzne, rzadko kiedy ujawniają się walki wysokich dostojników: z ognia widać tylko łunę lub dymy, z waśni słychać tylko echa, a te odblaski i odgłosy odbijają się w prasie. Opinia publiczna tak rozumie te znaki, że bez wahania wnioskuje o ich przyczynie a prawie zawsze odgaduje ją łatwo. Pomimo urzędowych zaprzeczeń, pomimo publicznych uścisków i tym podobnych sposobów zbłąkania jej w domysłach, utrzymuje ona stale, że pomiędzy kanclerzem a naczelnikiem sztabu generalnego istnieje ostry zatarg. Jest on nietylko widoczny, ale zarazem naturalny. Charaktery despotyczne i obdarzone władzą nie znoszą ludzi samodzielnych i nie oddają się stronnictwom, opartym na ścisłych zasadach i trwałych programach. Wobec Bismarka takim człowiekiem jest hr. Waldersee, a takiem stronnictwem — konserwatyści. Moltke do polityki wcale się nie mieszał, był on armatą spokojną i bierną, która wybuchała wtedy dopiero, kiedy ją kanonier z Warzina nabił i podpalił. Innym jest jego następca, który dotąd waha się między ambicyą wodza a dyplomaty. Chce on oddziaływać na bieg spraw państwa i nadawać im kierunek. Te jego pretensye ośmieliły partyę oddawna w Niemczech przeważną, główną podporę tronu, posiadającą zarówno sympatyę monarchy, jak i kanclerza. Bo z przekonań i upodobań jest Bismark junkrem i feudałem najczystszej wody, i gdyby nie był wielkorządcą państwa, lecz deputatem narodu, z pewnością walczyłby zawsze pod chorągwią Hamersteinów i Levetzowów. Ale jako „major domus" niemiecki, jako faktyczny władca nie może on poddać się bezwzględnie żadnej, choćby najpokrewniejszej partyi, bo musiałby wejść w stosunek zależności od niej, ograniczyć swoją wolę jej wolą, swoje plany — jej programem, zwłaszcza gdy ta partya nie składa się z karnych sług, lecz pysznych a często zuchwałych panów. Nie może on tego uczynić nawet ze względów roztropności. Zastęp konserwatywny ze wszystkimi luzakami liczy w sejmie najwyżej sto głów, co stanowi zaledwie trzecią jego część a więc nie daje większości potrzebnej do przeprowadzania uchwał. Niezbędnym tu więc jest zaciąg najemny, rekrutowany z narodowo-liberałów. Feodałowie gardzą tą czeredą i uważają spółkę z nią za obrazę swej godności, więc żądają, ażeby ich uwolniono od nieprzyjemnego towarzystwa oraz ażeby rząd oparł się wyłącznie na nich. Daremnie Bismark tłomaczył swej gwardyi śmieszność jej roszczeń, których spełnienie naraziłoby go na uciążliwą zawisłość i niebezpieczne w sejmie porażki; daremnie powtarzał im, że nie chce być kapitanem żadnej roty, lecz hetmanem większości, bez względu na to, z jakich ona składa się żywiołów; daremnie przycierał rogi zbyt wyrosłe i przycinał pazury zbyt wysunięte; konserwatyści, stłumiwszy gniew na chwilę, otwierali mu ciągle ujścia. Głównym kanałem tych niezadowoleń stała się *Kreuzzeitung*, organ pruskiego możnowładztwa. Dziennik ten w ostatnich latach panowania Wilhelma I, olśniony tryumfami i przerażony potęgą kanclerza, nie śmiał szemrać głośno, tem bardziej, że w rządzie nie miał wpływowego opiekuna. Dopiero gdy na czele armii stanął hr. Waldersee, przyjaciel cesarza, ideał wykrojony z marzeń gazety junkierskiej, zaczęła ona coraz szerzej otwierać usta. Już przed rokiem naraziła się tak kanclerzowi, że skonfiskowano jej numer, zrobiono w redakcyi rewizyę i wytoczono proces o obrazę majestatu. Teraz ugodzono ją ciosem jeszcze mocniejszym. Organ urzędowy *Reichsanzeiger* wydrukował oświadczenie, że cesarz potępia kierunek *Gazety krzyżowej* i jej wycieczki przeciwko ugodzie z narodowo-liberałami (kartel), że nie uważa się bynajmniej za przedstawiciela partyi konserwatystów i stoi po nad stronnictwami. *Kreuzzeitung* zesznurowała usta i „pochyliła czoło przed wolą monarszą" a więc także przed wolą kanclerską.

Bismark tedy znowu odniósł zwycięztwo, którego wszakże nie należy przeceniać. Niedługo odbędą się nowe wybory sejmowe, w których pomoc narodowo-liberałów jest rządowi potrzebną i w których „polityk realny" nie może się bawić marzeniami platonicznemi nawet junkierskiego pokroju. Ale z drugiej strony pozostaje fakt, który buntowi konserwatystów dostarcza silnej podpory, mianowicie starość i daremnie ukrywane zniedołężnienie kanclerza. Cesarz może nakazać im milczenie, ale nie może uciszyć, bo sam ją czuje, potrzeby wczesnego upatrzenia człowieka, któryby podjął brzemię już dziś przygniatające ste-

nika nawy państwowej. Feodałowie, nie ufając dynastycznemu następcy tronu kanclerskiego, starają się, ażeby ten człowiek (der kommende Mann) wyszedł z ich łona. O to w dalszym swym celu toczy się walka, która rozdrażnia Bismarka nietylko obawą o samowładztwo w teraźniejszości, ale i o dziedzictwo urzędu w przyszłości. Do jakiego zaś rozjątrzenia ona doszła, można sądzić z tego, że cesarz osobiście wmieszał się do niej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po ogłoszeniu nagany cesarskiej dla *Kreuzzeitung*, jak po wpuszczeniu do mieszaniny kropli mocnego odczynnika, zaczęły się w jej stronnictwie strącać rozmaite osady: najwierniejsi przyjaciele gazety złożyli urzędy lub zrzekli się zamiaru kandydowania do sejmu, inni znowu wyparli się dawniejszego z nią związku. Jest to wszakże rozkład chwilowy. Rozbite stadko prędzej czy później zwabi się i żyć będzie zgodnie, bo z jednego wychodzi gniazda. Zresztą nie trzeba zapominać, że gromada zawsze przeżywa jednostkę: stronnictwo konserwatywne pozostanie, chociaż Bismark odejdzie ze świata, a —jak powiada znakomity historyk niemiecki — „tylko żyjący ma prawo.“

Dopełniające wybory do Izby francuskiej dały znowu przewagę republikanom. Ostatecznie będą oni mieli sto kilkadziesiąt głosów większości, co im wystarczy do utrzymania Rzeczypospolitej, ale ponieważ w ich zastępie okaże się kilka wrogich stronnictw, więc również nie zbraknie ochotników do „odnawiania“ rządu coraz świeżemi ministeryami. Niedługo już Izba zbierze się na obrady, niedługo więc zobaczymy, czy ona zdolną będzie do pracy ciągłej i prawidłowej, czy też — jak dotąd — do tworzenia zamętu i gorszących skandalów. Zadziwić ona nas może tylko powagą i zgodą, bo do jej awantur i roztelek już jesteśmy przyzwyczajeni.

Zdaje się, że rząd serbski, sprowadzając byłą królowę, nie obliczył możliwych następstw jej przybycia. Powracającą naród— według zapewnienia wszystkich korespondentów — powitał bardzo serdecznie. Wydawano na jej cześć okrzyki, chciano odprządz konie od jej powozu, przystrojono miasto uroczyście, a te objawy zapału widocznie natchnęły Natalię myślą wyłamania się z warunków, pod którymi pozwolono jej odwiedzić syna. Pomimo że przedstawiciele rządu i państw obcych nie zgotowali jej urzędowego przyjęcia i tylko odwiedzili nazajutrz prywatnie, pomimo że dotąd nie dopuszczono jej do syna, pomimo że zarówno regenci, jak ministrowie nalegają, ażeby poddała się konieczności, nie chce ona ustąpić i przemieszkiwać po za granicami Serbii. Rozgrywa się tu jedna z tych scen znanych każdemu z życia prywatnego, w których logiczne wywody, mądre tłomaczenia i zasadne racye daremnie walczą z uporem i łzami kobiety podrażnionej i w swoje tylko uczucia zasłuchanej. Która siła zwycięży — nie wiadomo, zwłaszcza że ci, którzy namawiają Natalię do uległości, bardziej sympatyzują z nią, niż z jej małżonkiem. Prawdopodobnie on rozetnie ten węzeł, przybywszy nagle do Belgradu, skąd wyploszy swą żonę. Dotąd przynajmniej innego rozwiązania trudności nie widać. Tymczasem podróżuje on jeszcze po Szwajcaryi i dąży na wystawę do Paryża.

„Wielki starzec,“ Gladstone zaczął znowu się ruszać. Z odkrytą i spuszczoną przyłbicą występuje on w prasie to przeciwko rządowi angielskiemu, to przeciw polityce europejskiej. Jedno z pism londyńskich ogłosiło artykuł, zdradzający rękę Gladstone'a a krytykujący ostro potrójne przymierze jako związek niemoralny, szkodliwy a nawet bezwładny. Świat twierdzi, że słowom nadają rozum usta, które je wypowiadają; więc jeżeli tę krytykę wygłosiły usta Gladstone'a, ma ona wielkie znaczenie. I w tym względzie dalecy jesteśmy od bizantynizmu. „Wielki starzec“ nie trzyma w swych rękach władzy i wyrazów czynami nie poprze, a tę mądrość, którą mu świeżo przypisano, słyszeliśmy wielokrotnie i w najrozmaitszych odmianach. Dziś Europa teoryi już nie potrzebuje, co jest złe a co dobre — wiemy; świat czeka tylko na czyny i od nich czegoś spodziewać się może.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

GIMNASTYKA W SZKOŁACH.

Wprowadzenie do szkół ćwiczeń cielesnych, jako przedmiotu obowiązującego, rozstrzygającego o promocyi uczniów do klas wyższych, stanowi nowy i ważny okres w wychowaniu publicznem i zasługuje na obszerniejszą wzmiankę. Streśćmy w krótkości odnośne rozporządzenie ministra. Za główne pobudki tej innowacyi posłużyły dwie okoliczności: wpływ ćwiczeń gimnastycznych na stronę moralną ucznia i możność uczynienia z nich środka przygotowawczego do mustry, zaszczepienia jeszcze w szkole karności wojskowej. Odpowiednio więc do tego program lekcyi gimnastyki rozpada się na następujące działy: a) ćwiczenia zbiorowe (porządkowe), b) wolne ruchy, c) ćwiczenia z przyrządami przenośnymi i d) ćwiczenia na przyrządach nieprzenośnych. Zadaniem ćwiczeń w gromadzie będzie rozwinięcie obrotności, posłuszeństwa komendzie i karności. Podstawą nauczania w tym dziale ma być obowiązująca w armii: „Ustawa o szeregowej służbie piechoty.“ Uczniowie zatem oznajomią się z pojęciami o szeregu, równaniu się, skrzydłach, froncie, szyku w różnych postaciach, wytłomaczone im będzie znaczenie salutowania wojskowego, zwroty w miejscu, chód i bieg pojedynczy i szeregiem, oraz wiele innych tajemnic mustry żołnierskiej.... Wolne ruchy (jak naprzykład proste i złożone: rąk, nóg, głowy i tułowia, wstępne ćwiczenia do skoków, do fechtunku i pływania), mające na celu wzmocnienie sił fizycznych ucznia, będą przytem służyć za przygotowanie do ćwiczeń z przyrządami ruchomymi i nieruchomymi, tj., z laską, piłką, kulą drewnianą, drabiną pochyłą, belką poziomą, słupami itp. Instrukcya zaleca nadto urządzanie gier gimnastycznych, przeważnie odbywanych na wolnem powietrzu. Nosić one mają wybitnie wojskową cechę, np. marsz w szyku ze śpiewami, ćwiczenia w średnim i przyśpieszonym biegu, wprawa w ocenianiu na oko odległości.

Od ćwiczeń gimnatycznych wolni będą tylko uczniowie, uznani przez lekarza za-

---

LISTY MIŁOSNE

przez

Franciszka Coppée'go.

Najżywszą i najbardziej zajmującą niespodzianką w świecie literackim z ostatnich lat dziesięciu było bez zaprzeczenia ukazanie się tomiku prześlicznej prozy, pod tytułem *Listy miłosne*, wydanego u Alfonsa Lemerre, przez poetę Maryusza Cabannes, który to tomik w ciągu kilku miesięcy doczekał się sześćdziesięciu wydań.

Maryusz Cabannes, syn rolnika z okolic Bajonny, przed siedmiu czy ośmiu laty przybył do Paryża, do małego hoteliku przy ulicy Racine, mając w kieszeni kamizelki cztery luidory, a w kuferku podróżnym — duży rękopis z poezyami.

Ten ambitny a ubogi południowiec, który w czasie nieskończenie długiej podróży trzecią klasą żywił się gęsim szmalcem i czteroro-funtowym bochenkiem chleba, wypieczonym w domu, dążył na zdobycie Paryża, chociażby przebojem. Liczył cokolwiek na swoje wiersze, pisane na cześć Béarnu i kraju basków, a więcej jeszcze na swoją nieugaszoną żądzę sławy, na giętkość gaskońską, na talent deklamatorski, na piękną głowę o typie arabskim, na śpiczasto obciętą bródkę i na oczy o wyrazie rozkochanej kozy.

Zręczny i przebiegły chłopak, zaraz po przybyciu, był w dzielnicy Łacińskiej, jak u siebie. Otrzymawszy od wuja swego, proboszcza, bardzo mierne wykształcenie, zarabiał na życie udzielaniem lekcyj i co wieczór zbierał laury w kawiarni na bulwarze św. Michała, uczęszczanej przez południowców, gdzie deklamował swoje poematy pięknym barytonem, z namiętnymi ruchami mówcy republikańskiego i natchnionym wzrokiem aktora.

Czy wiersze Cabannesa były złe czy dobre? Nikt nie umiałby na pewno tego powiedzieć. Brzmiały przyjemnie, naginały się formą do ostatniej mody, a że zręczny chłopiec znał wszystkie tajemnice nowego wierszowania, przeto utwory jego odznaczały się przyzwoitą kompozycyą i zwrotkami brzmiącemi melodyjnie. Dość trafnie pod względem rysunku i kolorytu przedstawiał życie i krajobrazy południa, to też studenci z Pau i Dax, napełniający kawiarnię, wydawali okrzyki radości, kiedy Maryusz, oparty o piec, wymieniał, przed rozpoczęciem deklamacyi, tytuły swych arcydzieł: *W Pirenejach*; *Henrykowi IV*; *Wieczór w Biarritz*, itd.

Może publiczność więcej interesowna byłaby spostrzegła, że w tem wszystkiem nie było ani szczerości, ani temperamentu i że te kawałki — najwłaściwszy wyraz dla określania wierszy Maryusza — były robione na zimno, jak wiersze łacińskie, podług planu naprzód zakreślonego. Ale Cabannes, doskonały mówca, umiał olśnić najsurowszych krytyków pełnym, gorącym dźwiękiem głosu, w którym drgało uczucie, sztuczne wprawdzie—i fałszywym pozorem człowieka gienialnego.

Ten niby poeta, podszyty dyplomatą, nie mógł, jak się łatwo domyśleć, poprzestać na powodzeniach w swojem kółku. Smiało i odważnie przebijał się przez tłum paryski, porobił korzystne znajomości, na wszystkich zebraniach literackich wypowiadał swe wiersze, przeszedł sam siebie deklamując na obiedzie klubu „la Cigale,“ na którym znajdował się minister, także południowiec, zaraz potem otrzymał miejsce w biurze oświaty publicznej, w końcu obałamucił jakiegoś wydawcę i ogłosił swoje *Poezye bearneńskie*.

Z próby tej poezye jego wyszły niezupełnie szczęśliwie, zwłaszcza w oczach znawców. Nagie na białym papierze, ogołocone ze sztucznego ciepła, jakiem je ogrzewał piękny głos Maryusza, ukazały się, jakiemi były w rzeczywistości—zimnemi jak trupy i sparciałemi jak rzodkiew. Mimo niezliczonej ilości reklam uzyskanych przez autora od wielu bardzo dziennikarzy, nieszczęśliwy księgarz, który miał odwagę wydrukować *Poezye bearneńskie* swoim kosztem, na tysiąc egzemplarzy sprzedał zaledwie dwieście.

Maryusz Cabannes, bezwątpienia cierpiał bardzo nad tem niepowodzeniem, ale z wrodzoną sobie zręcznością posłużył się niem i udrapował, chcąc się stać interesującym. Bywał w świecie więcej niż kiedykolwiek, przybierając postawę dumną i smętną za-

kładu jako słabowici lub nieprawidłowo zbudowani. W braku doktora, nauczyciel sam może zwolnić ucznia od gimnastyki, w wypadkach kiły, choroby płuc, wadliwej budowy nóg lub kręgosłupa. W świadectwie lekarskiem winno być oznaczone, czy uczeń częściowo, czy też całkowicie jest niezdolnym do ćwiczeń. Co do godzin przeznaczonych na gimnastykę, to w średnich zakładach naukowych, instytutach i seminaryach nauczycielskich zajmować ona będzie najmniej dwie godziny tygodniowo dla każdej klasy, w niższych zakładach 3 godziny, o ile możności po za czasem zajęć szkolnych. W szkołach miejskich i dwuklasowych wiejskich program obejmuje tylko ćwiczenia porządkowe i ruchy wolne, w szkółkach zaś początkowych o kursie trzyletnim ruchy wolne, ćwiczenia porządkowe i na przyrządach nieprzenośnych. Nad lekcyami gimnastyki rozciągnięty będzie dozór lekarski, kontrola nad prawidłowością ćwiczeń i ich zgodnością z wymaganiami hygieny. Uwagi lekarzów w tej mierze będą komunikowane naczelnikom zakładów. Sprawozdanie roczne szczegółowe o postępach uczniów w gimnastyce wedle oddziałów ćwiczeń będzie obowiązkiem nauczyciela tego przedmiotu. W świadectwach uczniowskich rocznych, jak również z ukończenia zakładów i świadectwach na prawo do ulg w służbie wojskowej, wpisywane będą uwagi o stopniu wyćwiczenia gimnastycznego. Jak wiadomo odnośny okólnik ministra stał się obowiązującym od początku bieżącego roku szkolnego.

Zyg. Atanazy.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 4 października.

Historya kościoła św. Katarzyny jego majątku i urządzeń.

Skończyliśmy pierwszą część historyi podziałem dziejów na okresy. Dla udogodnienia tymczasem będziemy się trzymali owego podziału.

W pierwszym okresie, gdy sama nazwa parafii nie istniała, gdy kapłani patrzyli na swe zadanie jako na misyę, bezwątpienia wysyłano z Rzymu do nieznanej krainy ludzi najmniej chciwych bogactw i władzy. Szczupłe dochody całkowicie szły na chleb dla zakonników i na skromne potrzeby ołtarza. W kim zrodziła się myśl budowy świątyni — w księżach, czy wiernych — z przyczyny braku odpowiedniego materyału dziś trudno sądzić. Z pewnością za to możemy twierdzić, że myśl owa stała się nader żywotną. Zaledwie otrzymano kawał gruntu pod kościół, składki i ofiary zaczęły płynąć w wielkiej ilości.

Tutaj znajdujemy stosownem wtrącić w nawiasie chociaż stary i wiele wyszargany, lecz wcale przydatny i trafny morał, że bogactwo psuje ludzi. Zetknąwszy się z pieniędzmi zakonnicy włoscy podobno utracili gołębią prostotę, skoro w czołobitności parafian na imię Katarzyny II znajdujemy wzmiankę, że przeorowie z ofiarnym groszem uchodzą do domu. Być może podobny wypadek raz się tylko zdarzył, lecz członkowie niemowlęcej parafii niczem nie byli ubezpieczeni, że on się nie powtórzy, tembardziej, że na wszelkie prośby posyłane w owym czasie do Rzymu nie zwracano najmniejszej uwagi.

Zauważmy, że od nadania gruntu do zatwierdzenia regulaminu upłynęło 30 lat, a kościół jeszcze nie był wykończony. Przyczyną w pewnej mierze była niewielka ilość parafian, lecz przedewszystkiem zbyt mała żarliwość duchownych. Juści zaczynając budowę zapewne liczono się ze środkami i gdyby zachodziła wątpliwość co do wzniesienia obszernego gmachu, zadowolonoby się małym, postawionym w parę lat po nadaniu prawa. Pewnik twierdził, że wszystko pójdzie jaknajlepiej, lecz wieść, że przeor nie jest zbyt gorliwym ostudziła zapał ofiarodawców; gdy zaś ruble zaczęły wyjeżdżać za granicę — nastąpiły lata rozczarowania i niedowierzania.

Za to z początkiem drugiego okresu, tj. po nadaniu regulaminu i powołaniu zakonników z Niemiec, wszystko idzie jaknajlepiej. Nie długo jednak. Zaledwie nowi pasterze oznajomili się ze stanem rzeczy, powstały zatargi. W początku 1797 r., gdy się skończyło trzechlecie ówczesnych syndyków, parafianie, dla zbadania stanu majątku, wybrali z każdej narodowości po czterech deputatów i dodali rachmistrza Eckengrena. Przeor wielce był niezadowolony z owej kontroli, a dowodził, że rewizya może nie zatwierdzić rachunków, więc zachwieje kredyt kościoła. Wogóle zaś przekonywał odpowiednie władze, że nie warto wtajemniczać parafian we wszystkie drobiazgi.

Sprawa poszła do departamentu katolickiego i rewizya została dopełnioną; przytem w zarządzie i w księgach okazały się nieporządki i nadużycia. Ujawniono, że nie wszystko wpisywano do ksiąg, że wyskrobywano całe paragrafy, mieszkania oddawano w kościelnym domu znacznie taniej w porównaniu z sąsiednimi domami... Były i takie np. zjawiska: 1 stycznia 1797 r. zapisano w rubryce dochodu zamiast 3763 rs. 85 kop. zaledwie — 498 rs. 50 kop. Dług w owym czasie już wynosił 110,953 rs. (asygn.). I znowu sprawa oparła się o departament katolicki, poczem i o senat. Skończyło się na wyroku, że syndycy powinni pokryć niedobory. Zarząd zobowiązano trzymać się regulaminu.

Trzeci okres zaczyna się od przyjazdu do Petersburga ks. Grubera, a wkrótce i jego współbraci. Mądrzy jezuici potrafili oczarować ówczesne wyższe społeczeństwa stolicy, a całą usilność skierowali ku temu, by wziętość metropolity Bohusza-Siestrzeńcewicza u dworu i u samego cesarza Pawła— zniszczyć i utwierdzić się stale. Oba te cele osiągnęli, a skutkiem tego kościół św. Katarzyny wraz z domem przeszedł w ich wyłączne posiadanie, bez żadnego współudziału parafian i kontroli wszelkiej innej władzy. Parafianie niechętnie zrzekali się zebranego po groszu w ciągu 70 przeszło lat majątku, który, podług regulaminu Katarzyny II, należał do nich w zupełności; natenczas jezuici, nie chcąc wszczynać na pierwszym kroku zatargów, przystąpili do ugody. Według niej majątek *de jure* pozostał własnością parafian, *de facto* zaś przeszedł pod władzę zakonu.

Już zaznaczyliśmy, że jezuici rządzili majątkiem kościoła sumiennie, tj. tak, jak się rządzi własnem dobrem. Mądry zakon w owym czasie nie dbał o jakieś marne grosze, lecz — w zupełnem znaczeniu tego słowa — o umysły i dusze parafian. Zresztą, któż się spodziewał, że po 15 latach wszystkie jego usiłowania runą!

---

poznanego poety i oskarżające społeczeństwo teraźniejsze o okrutną obojętność dla wielkiej sztuki. Kiedy go proszono, by coś zadeklamował ze swoich utworów, uśmiechał się z goryczą, kazał się długo prosić, ulegał jednakże natarczywości i dzięki porywającemu organowi głosu i talentowi aktorskiemu ożywiał zimny wiersz i wywoływał oklaski. Tym sposobem utworzył sobie niewielkie, lecz zapalone kółko wielbicieli, którzy nie czytali nigdy, lecz tylko słyszeli jego poezye.

Kobiety, ujęte jego ładną twarzą, której wyraz smutku dodawał jeszcze uroku, żałowały go i zajmowały się nim. Rozszerzył swoje stosunki; na proszonych obiadach milczał, rzucając tylko naokół ponure spojrzenia; otrzymał wyższą posadę w ministeryum i rozkochał w sobie bardzo wpływową, uczoną pedantkę. Akademia francuska, dobra i wyrozumiała osoba, udzieliła nagrodę jego *Poezyom*, które sekretarz w ładnej przemowie nazwał „pięknem usiłowaniem.“ Słowem, jakkolwiek nie zdobył sławy, zyskał wszakże chwilowy rozgłos i wyciągnął możliwe korzyści ze swej nędznej książki.

Źle zrobił, wydając w trzy lata drugą. Jego *Poezye pirenejskie* uznano zostały przez ludzi z dobrym smakiem za jeszcze bezbarwniejsze i nudniejsze od bearneńskich. Reklamy prawie nie było. Tym razem wszyscy dziennikarze pozostali głuchymi na prośby Maryusza. Zaczęto nawet w salonach literackich żartować sobie z „pięknego deklamatora,“ nieżyczliwi szeptali już nieszczęsne wyrazy: „suchy owoc,“ „zużyty,“ gdy nagle, w dwa miesiące po najzupełniej nieudanej próbie *Poezyj pirenejskich*, ukazało się to szlachetne i subtelne arcydzieło: *Listy miłosne*.

Zdziwienie było ogólne. Bezwarunkowo od czasu *Listów* zakonnicy portugalskiej nie czytano nic bardziej wzruszającego, bardziej namiętnego. A jednak nie był to nieznośny romans w listach. „Nie, zbyt wymarzona Julia Rousseau'a! Nie, Korynna w turbanie!“ Była to rzecz daleko prostsza.

Biedna nauczycielka, zarabiająca na chleb, w jednym z zakładów naukowych, miała tylko pół dnia na tydzień i spędzała go ze swym kochankiem, studentem poetą, tak biednym, jak ona sama, a mieszkającym na poddaszu w dzielnicy Łacińskiej. Szalenie zakochana, myśląc ciągle o nim, pisywała doń podczas nudnej ciszy, kiedy dziewczątka przygotowywały lekcye. Korespondencya trwała niedługo— kilka miesięcy zaledwie. Rozpoczęła się nazajutrz, po chwili, kiedy nieroztropne dziecko oddało serce i całą siebie — jaki wzniosły okrzyk miłości! jaki hymn radosny! — a kończyła bolesną i przejmującą skargą, porzuconej, umierającej z opuszczenia. Czterdzieści listów, nic więcej. Ale co za książka! Najczystsza prawda, cząstka życia krwią ciekąca! Co za styl! Gwałtowny, porywający, zaniedbany, o niezwykłych zwrotach i wybuchach prawdziwie kobiecej namiętności, płynący po papierze, jak czysta i gorąca krew ze świeżo otwartej żyły.

Wrażenie w świecie literackim było niesłychane! W ciągu dwóch tygodni Maryusz został sławnym. To, rozumiem, mówił niejeden w piwiarni, gdzie się zbierali młodzi naturaliści, to się nazywa „pochwycić życie na gorącym uczynku.“ „Wykwitne! prześliczne“ — śpiewały kobiety wielkoświatowe na poobiednich herbatkach. Świeży numer *Przeglądu* ukuł artykuł, w którym „nową książkę“ pomieścił między *Księżniczką Clèves* a *Manon Lescaut*. Jan Borel zaś, stary, niewidomy krytyk, który dawniej przedtem kazał sobie czytać *Listy miłosne*, schodząc ze schodów Instytutu pod rękę z jednym ze swych współtowarzyszów, zawołał:

— Baczność! To mi pisarz!

Nawet dekadentyści, żałując w nowonarodzonej książce zupełnego braku symbolizmu, byli jednakże wzruszeni.

Jedynie tylko umysły pesymistyczne nie mogły się otrząsnąć z osłupienia i zadawały sobie pytanie: jakim sposobem poeta mierny, oschły, jak Maryusz Cabannes, mógł napisać książkę tak płomienną, w której odgadywało się gorące serce kobiece? Jakto! wczoraj był on nędznym wierszokletą, przyrządzał opisy na sosie nowożytnym, coś niby ksiądz Delille po przeczytaniu Wiktora Hugo, a potem, ni stąd ni zowąd, dlatego tylko, że wiersze zmieniły się na prozę, znalazła się nagle oryginalność, uczucie, życie, szczery okrzyk serca! Czyż to być może! To niepodobna. W tem coś być musi.

Istotnie było to niepodobnem, a tajemni-

W każdym razie narzekać na marnotrawstwa jezuitów nie mamy prawa, a nawet powinnibyśmy czuć dla nich wdzięczność za szkołę, bibliotekę, za powiększenie majątku, gdyby inna okoliczność nie rzucała ponurych cieniów na ten okres. Naprzód parafianie oduczyli się dbać o swe dobro i zapomnieli, że są właścicielami majątku, powtóre przykład jezuitów zachęcił i następny (dominikański) zakon do gospodarki podług własnego upodobania, a co najgłówniejsza, mądry regulamin 1769 r. nowym prawem został cofnięty i należał tylko do historyi. Wszelkie usiłowania wydobycia go z pod pyłu spełzły na niczem.

(D. n.).

N. B.

LISTY Z NAD BALTYKU.

Głos w sprawie tolerancyi wyznaniowej w Rosyi.— Sprawy wszechnicy dorpackiej. — Reforma sądowa. — Sądy feudalne. — Opinia estów.

P. Pobiedonoscew przygotowywa podobno odpowiedź na broszurę petersburskiego pastora, p. Hermana Daltona, która budzi w szerokich kołach nie mało zainteresowania. *Offenes Sendschreiben an den Oberprokureur des russischen Synods Hernn Wirklichen Geheimrat Konstantin Pobedonoszeff*“ spotykamy w trzeciem wydaniu, w oknach wszystkich księgarń i we wszystkich domach. Jest to „odpowiedź“ na „odpowiedź,“ jaką w r. z. p. Pobiedonoscew ogłosił na adres, doręczony przez szwajcarskie Towarzystwo ewangielickie Monarsze. Jako *motto* zdobi książkę piękna myśl Fryderyka Wielkiego: „Fałszywy zapał religijny (*Glaubenseifer*) jest tyranem, który kraje wyludnia, tolerancya zaś jest czułą matką, która pielęgnuje i wytwarza rozwój krajów.“ Autor sam niezupełnie stosuje się do pierwszej części myśli pruskiego monarchy; stronniczo, z ciasnego stanowiska ewangielickiej sekty, rozbiera sprawę *Gewissensfreiheit in Russland* (tytuł broszury). Albo — albo; albo się rzecz traktuje z religijnego punktu widzenia i zasady bezwzględnej tolerancyi, albo też ze stanowiska utylitaryzmu. Ale kto wychwala państwowe, polityczne zasługi specyalnie luterstwa w Rosyi, ten nie może gniewać się na zdanie odmienne, przypisujące innemu wyznaniu rolę głównej opoki państwa. To też niewątpliwie p. Dalton otrzyma ostrą odprawę.

Z Dorpatu donoszą, iż nowy rok akademicki zmian w języku wykładowym, na wydziale nawet prawnym, nie przyniósł. Przybyło ledwie dwóch nowych docentów rosyan — pp. Grimm i Djakonow. Rektorem obrano ponownie prof. p. Aleks. Schmidta, ma to być jak donosi *Rižkij Wiestnik*— kreatura „baltycka.“

Wyczekiwany sąd nowy, mający od góry do dołu wstrząsnąć społeczeństwem baltyckiem, nie zjawiał się, odkładał terminy swego przybycia. Nie tracił jednak czasu; w stolicy państwa oddawano się głębokim badaniom dawnych praw i ustroju baltyckiego, by reforma wystąpiła zbrojna we wszelkie zasoby, pozwalające jej odrazu zająć się wymierzaniem „wszelkiej“ sprawiedliwości. Nie mała i nie łatwa to praca. Nie tak trudnem jest nowy gmach postawić, jak przerobić stary zamek, w którym zmieniające się wieki kolejne zostawiały ślady, a każdy nowy właściciel, w miarę zmiennych potrzeb lub wreszcie fantazyi, powiększał i zdobił go przybudówkami, ciemnymi zakątkami.

Obecne sądownictwo ruskie powstało w okresie przeobrażeń społecznych. Szło ono wślad za ogłoszeniem „praw człowieka,“ wyzwoleniem włościan, i opierało się na zasadzie równości wszystkich przed prawem. Kraj nadbałtycki nie zna takiej epoki; tutaj powoli, bez gwałtownych zmian lub przewrotów odbył się proces usamowolnienia mas ludowych. W miarę odmiennych warunków bytu łatano dawne instytucye. Skutkiem tej systematyczności i powolności nie nastąpił tutaj taki straszny przełom ekonomiczny, takie wybicie się z kolei, jakie w gospodarczych stosunkach, dziś jeszcze zagmatwanych, widzimy w Cesarstwie.

Nad Bałtykiem wszystko zostało dawne, stare, choć tu i owdzie odnowione, przystosowane jako tako, ale na wskróś przesiąknięte zbutwiałym duchem minionych lat, który swędem się wydaje w atmosferze współczesnej. Tylko nagły przewrót znosi lepiankę zabytków, nową zastępując ją budowlą, stwarza nowych ludzi, co zrazu nową postępują drogą, nowym tchną duchem, niespaczonym zaślepioną czcią dla przeszłości. To dopiero prawdziwa reforma — tamto zaś to jeno dalszy ciąg tego, co już żyć nie może, bo jest za stare, bo się już przeżyło. Sądownictwo nadbaltyckie było, społecznie biorąc, anachronizmem nawet w stosunku do Rosyi, a cóż dopiero w stosunku do kraju, w którym istniało, i do tak oświeconej ludności. W jednej sprawie przekracza prawo trzy osoby: włościanin, mieszczanin i szlachcic; trzy odmiennie sądzą ich sądy i trzy odmienne wydają wyroki. Taki sąd kastowo-cechowy z aresztem u góry a karami cielesnemi u dołu — istniał tu do tej pory. Jaka stąd gmatwanina, gdzie masa instytucyj, cechów, władz występuje w roli sądowej w różnych okolicznościach.

Ludność tutejsza sama pojmowała zły stan rzeczy i domagała się reformy, której jednak w szczegółach przyswoiłaby odmienne cechy, od tej reformy, jaką w listopadzie r. b. rząd wprowadzi ostatecznie. Niewątpliwie, między innemi, język nowych sądów, z początku niemało sprawi trudności. Nadto ubolewają tu nad mitręgą i kosztami jakie wywołało brak izby sądowej (*sudiebnaja pałata*) w Rydze, wskutek przyłączenia gubernij baltyckich do okręgu petersburskiego. Warstwy ludowe bezwzględnie cieszą się z tej nowej reformy. Znany prowodyr estów, p. Jakobson, pisze z tego powodu: „Jestem dumny, że należę do tej olbrzymiej masy miejscowej ludności, która ze zrozumiałą niecierpliwością oczekuje urzeczywistnienia się reformy sądowej, tego sądu, który tak wspaniale charakteryzują słowa: sąd sprawiedliwy, prędki i łaskawy.“

R.

PO ZJEŹDZIE LWOWSKIM.

II.

O ile rozumnem i słusznem było uchwalenie wniosku p. Parczewskiego, o tyle w wielkie zdumienie wprawiła nas dy-

---

ca ukrywała się w tem, że *Listy miłosne* nie były przez Maryusza pisane.

Wkrótce po przybyciu do Paryża, w uroczy, ciepły, pogodny poranek jesienny, Maryusz przechadzał się po ogrodzie Luksemburskim. Pomimo piękności dnia i pory był smutny. Żadna z osób, u których złożył listy polecające, nie dała dotąd znaku życia, a z osiemdziesięciu franków, jakie przywiózł z sobą, pozostało mu tylko trzy. Chcąc ostatni grosz zaoszczędzić, kupił sobie na śniadanie kiełbaskę i kawałek chleba i spożywał je, chodząc po alejach, okruszyny zaś rzucał łabędziom pływającym po basenie.

Wtedy spostrzegł o kilka kroków młodą dziewczynę, ubraną mniej niż skromnie, która z książką otwartą na kolanach, z wyrazem twarzy znudzonym, wpatrywała się w spokojną powierzchnię wody. Mała, szczupła, zgrabna, z twarzą *à la* Greuze, miała duże, pełne światła, oczy. Pierwszem spojrzeniem odgadywałeś w niej naturę subtelną i delikatną. Mimo nędznej sukienki i kapelusza bronzowego bez kawałka wstążki, wyglądała bardzo przyzwoicie.

Dlaczego Maryusz i to młode dziewczę zbliżyli się do siebie mimo wszelkich form w świecie przyjętych? Jakim sposobem za jednym rzutem oka porozumieli się z sobą i zaczęli rozmawiać o rzeczach podpadających pod uwagę, o łakomstwie łabędzi, o niezmiernej pogodzie nieba? Zapewne dlatego, że byli nieszczęśliwi i sami na świecie. Zdawało im się, że znali od urodzenia. Oddalili się od basenu, a idąc obok siebie, rozmawiali jak dawni przyjaciele; mimowoli prawie poszukali ławki pod cienistemi drzewami, usiedli i z całem zaufaniem zaczęli mówić o sobie.

Ona, imieniem Anna, była sierotą, pochodziła z Szampanii i wychowywała się u krewnych, którzy się z nią źle obchodzili. Po skończeniu pensyi została nauczycielką i przerzucając się z miejsca na miejsce obecnie była w nieźłym zakładzie naukowym, na bulwarze Montparnasse, gdzie, oprócz mieszkania i utrzymania, dostawała pięćdziesiąt franków miesięcznie. Czas wolny miała tylko w niedzielę popołudniu, nie znając wszakże nikogo w Paryżu, samotne dziecko używało chwil swobody na zwiedzanie muzeów w dni słotne, a na przechadzkę po ogrodach publicznych w dni pogodne, gdzie zwykle zabierała z sobą książkę do czytania.

Owego pamiętnego dnia, w którym się poznała z Maryuszem, miała *Niezapominajki* Moreau.

Maryusz, przeczytawszy tytuł, przyznał się, że i on jest poetą, lecz ubolewał nad tem, jak w wielkiem mieście niknie wśród tłumów. Anna objawiła mu swoje współczucie w wyrazach pełnych prostoty i słodyczy i zapragnęła poznać coś z jego poezyj. Swoim więc pełnym i głębokim głosem, który powstrzymywany wydawał się jeszcze pieściwszym, wypowiedział kilkanaście wierszy, jedynie uczuciowych, jakie kiedykolwiek napisał, a pisał je poprzedniego wieczora przy groszowej świeczce, w nagim i zimnym pokoiku hotelowym.

Dziewczyna zachwycała się tym wymownym okrzykiem bólu, nie odczuwszy dźwięczącej w nim nuty samolubnej. Kiedy skończył, miała łzy w oczach.

Nie myśleli już o rozłączeniu się. Chodzili po alejach, lub siadali na ławkach, aż do zmierzchu, kiedy chłodny wiatr wieczorny zaczął zwiewać z pod ich stóp pierwsze zżółkłe liście. Anna o szóstej musiała być w domu; przed rozstaniem wszakże przyrzekli sobie zobaczyć się następnej niedzieli.

Stawili się oboje o oznaczonej godzinie; dzień był równie piękny, chłodniejszy tylko i krótszy, a ogród więcej z liści ogołocony. Rozmowę ich przerywało częste milczenie, w czasie którego snuli jeden i ten sam wątek marzeń. Zbyt byli nieśmieli, by mówić o miłości, ale biedne dziewczę już kochało, a Maryuszowi zdawało się, że kocha.

W tydzień potem zima zapanowała na dobre, drobny i lodowaty deszcz opłukiwał czarne drzew szkielety. Tego dnia Maryusz nakłonił ją, żeby poszła do niego, do owej ponurej stancyjki przy ulicy Racine, do której wchodził wieczorem zwykle ze ściśniętem sercem, tak go raził stary, wytarty i dziurawy kobierzec, leżący pod spaczonym i poplamionym stołem, brudny, żółtawy fotel, poobdzierane miejscami obicie na ścianach i ohydny sztych, wiszący wprost łóżka, a wyobrażający „Rozbicie się Meduzy.“

Wkrótce ta nędzna izdebka stała się dla nich rajem, gdyż się w niej kochali. Każdego ranka w niedzielę Maryusz pozwalał so-

skusya, wnioski i uchwała z powodu referatu p. Stanisława Boduszyńskiego z Warszawy: „O dowodzie z przysięgi w procesie cywilnym.“ Autor uzasadniał potrzebę przywrócenia tego dowodu, który po reformie sądownictwa w Królestwie Polskiem (13 lipca 1876) został bardzo ograniczony i zależny tylko od zgody obu stron spór wiodących. Zdaniem prelegenta, wcale na przekonywających przykładach nieopartem, ograniczenie, czy też zniesienie dowodu z przysięgi obniżyć miało moralny poziom społeczeństwa. Efektowny to może frazes, lecz żadnej niewytrzymujący krytyki. Lat kilkanaście, to w życiu społeczeństw chwila zaledwie, przelotna, niepochwytna dla czynienia jakichkolwiek porównań; a marnem rzeczywiście musiałoby być takie, którego poziom moralny obniżyłby się pod wpływem braku jednego tylko dowodu w pewnej części prawodawstwa cywilnego. Nie przedstawił nam referent żadnych danych porównawczych na korzyść swego twierdzenia; gdyby zaś koniecznie przyszło nam spierać się w tej kwestyi, to chyba zbytnia jednostronność i krótkowidztwo mogłoby tak doniosłym skutkom jedną i tak małoznaczną dać przyczynę. Kto uważniej i wszechstronniej przypatrywał się naszemu społeczeństwu, licznym jego przejawom, którego nieodstępnymi jesteśmy świadkami przez ciąg trzeciego lat dziesiątka, ten dopatrzy się wielu głęboko sięgających przyczyn i będzie mógł powiedzieć coś bardziej zajmującego, niż o usunięciu dowodu z przysięgi w procesie cywilnym. Biorący udział w tych rozprawach powinni byli o tem wiedzieć. Nawiasem zaś zwolennikom tego dowodu przypomnimy, że za dawnych sądów był on tak nadużywany, iż urzędujący w Warszawie ówczesny departament Senatu w jurysprudencyi swej niejednokrotnie zalecał niższym instancyom nader ogłędne stosowanie go i że najnowsza nauka również bardzo ostre stawia mu zarzuty. Lecz nie szło bynajmniej o naukową stronę w tej dyskusyi; był to tylko parawan, z po za którego odzywać się poczęły najmniej na zjeździe naukowym spodziewane głosy stańczykowskie. P. B. sam oświadczył, że nie stawia żadnych wniosków do uchwały wiecu; w kilku tylko myślach streścił swą pracę. Jedną z nich podniósł i wbrew jego zamiarowi żądał przyobleczenia w formę uchwały p. Zoll, profesor krakowskiej wszechnicy. Mówca oznajmił wprawdzie, że jedynym znawcą tego przedmiotu, mogącym zasadnie głos zabrać, był zmarły niedawno z ogromną dla nauki stratą prof. Fierich; żądał wszakże zagłosowania wniosku, że „przysięga w procesie cywilnym odpowiada tradycyi, poczuciu prawnemu, moralnemu i religijnemu społeczeństwa i że na utrzymanie zasługuje.“

Napróżno ktoś dowodził, że jeśli idzie o Galicyę, to ona posiada tyle rodzajów przysięgi, iż mogłaby bez szkody znaczną ich część nam odstąpić; napróżno przekonywano, że niedorzecznością jest twierdzić, iż pewien dowód proceduralny odpowiada lub nie tradycyi społeczeństwa, że wreszcie pewnych uczuciowych a jednostronnych poglądów nie można poddawać pod obrady zjazdów, których przedmiotem są zagadnienia czysto naukowe. Zjazd przecież, a raczej pewna garstka jego uczestników wniosek ten uchwaliła, a nawet wbrew woli referenta nadała przysiędze charakter wyznaniowy. Dziś więc, łaskawy czytelniku, pod powagą wiecu prawników rad nierad musisz być tego zdania, że pewien dowód proceduralny, o którego właściwości tylko nauka i praktyka orzekać mogą, jest niezbędny jedynie dlatego, że zgadza się z tradycyą swego społeczeństwa! Jaka zaś jest korzyść i praktyczny skutek z tego rodzaju uchwały, który odłam społeczeństwa odniesie bezpośredni z niej pożytek, czy Galicya, dla której ta uchwała jest zbyteczną, czy Królestwo, czy Poznańskie — o to byś pytał napróżno.

A szkoda wielka, że temi jałowemi rozprawami zabrano tyle drogiego czasu, tak, że nie starczyło go dla gruntownego i sumiennie opracowanego referatu p. Filipa Flamma „o spółkach przemysłowo-rolniczych.“

W. K.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 1 października.

Próba pogodzenia stronnictw czeskich. — Ustąpienie Lichtensteina. — Sztuczki hr. Taaffego. — Teatry w Wiedniu. — Burgtheater i „Die Jüdin von Toledo“; jego nowości. — Nowa operetka Dellingera w Theater an der Wien. — Premiera Karltheatru. — Teatr hr. Esterhasego w Totis.

Zatarg czesko-niemiecki przebył fazę, której wynik, zaostrzający położenie, jest równie jasny, jak zagadkowe i niejasne są kroki poprzedzające go, a dążące do układu. Faza ta ma cechę, która ją odróżnia od poprzednich okresów zajadłego tego starcia: tę, że stworzyła ją inicyatywa rządu. Rząd, który dotychczas spokojnie i biernie przypatrywał się walce stronnictw narodowych w Czechach, a oparty na większości czeskiej w parlamencie, zachowaniem swem drażnił niemców, nie zadawalając czechów, zdecydował się nareszcie urzeczywistnić swój program, głoszony od lat dziesięciu i spróbował pojednania przeciwników. Ks. Schönburg, któremu gabinet hr. Taaffego powierzył tę misyę, zwrócił się w lecie do Szmeykala z zapytaniem: czy możnaby liczyć na udział niemców czeskich, gdyby zwołano do Wiednia konferencyę przedstawicieli obu stronnictw dla porozumienia i układu. Podczas gdy komitet wykonawczy posłów niemieckich obradował nad odpowiedzią pełnomocnikowi rządu, nastąpiła nominacya hr. Thuna na namiestnika, a zarazem sprawa koronacyi stała się pilniejszą, aniżeli kiedykolwiek. Należy pamiętać o tem, by zrozumieć butną odpowiedź, jaką stronnictwo, będące w mniejszości, przesłało rządowi, oświadczającemu gotowość do czynienia ustępstw. W imieniu posłów niemieckich przyszekł dr. Szmeykal udział niemców w projektowanych naradach tylko po spełnieniu dwóch warunków: po pierwsze, by rząd pojednawcze usposobienie okazał niemcom nietylko w słowach, ale i czynach; powtóre, aby przed rozpoczęciem układów owych oświadczył stanowczo, że życzenia czechów, niezgodne z dotychczasowym ustrojem państwowym, nie będą uwzględnione. Odpowiedź ta, z którą zgodziły się najzupełniej wszystkie organa niemieckie i wiernokonstytucyjne, uniemożliwiła zwołanie projektowanej konferencyi. Było to rzeczą jasną zgóry dla każdego znawcy położenia, że rząd ani o włos nie przekroczy roli pośrednika i że dążyć będzie do pogodzenia stronnictw drogą układu, którego rezultat chętnie potem w czyn przemieni; lecz żądać

---

bie na zbytek i rozpalał duży ogień na kominku, a wkrótce potem wbiegała Anna promienna młodością i woniejąca bukiecikiem fiołków, przypiętym do stanika. Biedne dziewczę bez rodziny, bez opieki, bez przyjaciół oddało się bez wahania i czuło najszczęśliwszem z kobiet, gdyż było kochane przez poetę. Anna oddała się ciałem i duszą nazawsze, a ponieważ tylko kilka godzin tygodniowo mogła spędzać ze swoim kochankiem, pragnęła przynajmniej myślą być z nim jaknajczęściej, pisywała więc doń codziennie te tkliwe, naiwne, zachwycające listy, tchnące gorącem uczuciem, a które on, literat, czytając rano, podparty na poduszce, z cygarem w ustach, porównywał do świeżych róż, wysypujących się z fartuszka Elżbiety węgierskiej.

Maryusz był z początku zadowolony z kochanki ładnej, nienatrętnej, „tygodniowej,“ jak ją nazwał, opowiadając o swojej przygodzie jednemu z towarzyszów. Czasem nawet czytał z przyjemnością te ogniste kartki, z każdego wiersza których tryskał gorący wyraz miłości—np.: „Kiedy powtarzam sobie w duszy twe imię, zdaje mi się, że się moja myśl uśmiecha.“ Ale w głębi serca zimny południowiec nie kochał Anny. Wkrótce długie jej listy, na które nawet nie odpowiadał, znudziły go do tego stopnia, że nie czytając, rzucał je do szuflady. W końcu i sama Anna go znudziła. Właśnie wtedy przedstawiono go pewnej aktorce z Odeonu, której się zdawało, że ma słabość do jego powłóczystych oczu i spiczastej bródki; marzył już o napisaniu dla niej roli i o dostaniu się do teatru za jej pośrednictwem. Postanowił więc zerwać z Anną. Uczynił to z niegodnem brutalstwem w scenie, w której ujawnił się cały jego cynizm. Biedne dziecko odeszło ze spuszczoną głową, złamane, dotknięte w samo serce, zabite.

Nic już o niej nie słyszał, nie dowiadywał się o nią pochłonięty twardą walką o chleb i usiłowaniami zdobycia sobie zapomocą intryg stanowiska poety. W sześć miesięcy potem otrzymał ostatni list od Anny, ze szpitala Cochin, gdzie nieszczęśliwa gasła z rozpaczy i wyniszczenia; list cudny, przepełniony wspaniałomyślnością i szlachetnością, w którym męczennica przebacza swemu katowi, w którym wszystkie zadane rany ożyły, jeszcze wołając wielkim głosem: „Kocham cię!“

Mimo wszystkiego, oschłe i złe serce Maryusza wzruszyło się cokolwiek. Przybył jeszcze na czas do szpitala, by otrzymać przebaczenie z gasnących ust kochanki i nie dozwolić na zabranie ciała do sali anatomicznej. Zastawił nawet swój zegarek i na lat pięć wynajął dla zmarłej grób na cmentarzu ubogich, Champs des Navets.

Tylko — przypadkiem jedynie — zachował jej listy.

A w kilka lat potem, kiedy niepowodzenie *Pirenejek* było stwierdzone, nawet przez niego samego, grzejąc się raz wieczór przy piecu, przypomniał sobie te listy; odnalazł je między starymi szpargałami, przeczytał i zrozumiał całą ich wzruszającą piękność...

Przepisał je własnoręcznie, ogłosił za swoje i stał się prawie wielkim człowiekiem!

Tak. Nikczemnik sprzedał szczątki swojej ofiary! Plagiat złożony z morderstwa i złodziejstwa! Czyż może być większa podłość! Ale kto wie? Jeśli umarli zajmują się żywymi, Anna jeszcze i teraz przebacza Maryuszowi, bo go pokochała na wieczność i jest szczęśliwa, że jeszcze i teraz może mu się na coś przydać... Maryusz mówi to sobie dla usprawiedliwienia i nie myli się prawdopodobnie. Serca kochające po za grobem nawet zachowują swą niesłychaną słabość.

Zresztą czyż wyrzuty sumienia trapią Maryusza? Ech! zawiele posiada próżności, by nie wmówić w siebie, że na jedno wychodzi napisać książkę, lub też natchnąć kogo do jej napisania.

W każdym razie Maryusz skorzystał ze swego powodzenia. Został małżonkiem bogatej dziedziczki, której *Listy miłosne* zawróciły głowę i daje dzisiaj doskonałe obiady. To też ambicya jego nie ma granic. Upewniają nawet, że go ktoś widział w nocy, przy świetle księżyca, jak stał na moście des Arts przed Akademią i grożąc pięścią sławnej kopule, rzucał jej przez zęby to znakomite wyzwanie Bastignaca:

— A teraz, zobaczymy!

Tłom. *Kasylda K.*

od niego wymierzenia dwóch policzków stronnictwu większości, znaczyło proponować mu zamach samobójczy. Słusznym przeto jest zarzut prasy urzędowej i półurzędowej, że niemcy świadomie uniemożliwili dojście do skutku konferencyi pojednawczej. Atoli niemcy bronią się twierdzeniem, któremu również racyi odmówić nie można, a które na charakter obecnej polityki wewnętrznej rzuca światło właściwe: według nich sprzeczność pomiędzy podjętą akcyą ugodową a zamianowaniem hr. Thuna tłomaczy się zamiarem, by uniemożebnić niemcom przystąpienie do układów i uczynić ich następnie odpowiedoialnymi za płonność usiłowań rządu. Ten rząd, który sprzymierzeńców swych żywi pół-koncesyami, a sam, tracąc ciągle grunt, utrzymuje się dzięki programowi, którego wykonać nie umie; świadom swej bezsilności, a goniący za oklaskiem stronnictw, na których się wspiera—zgotował sobie tu powodzenie, odpowiadające całej jego polityce: niezmieniające sytuacyi na lepsze, a jednak wyglądające na zasługę. Jest to zastosowanie głównej maksymy hr. Taaffego: *ut aliquid fecisse videatur.*

Niemałego kłopotu przysporzył mu ks. Aloizy Lichtenstein, składając w tych dniach przewodnictwo rzeszy klerykalnej. Polityczny ten sportsmen dowiódł po raz trzeci, jak niebezpiecznym i niepewnym jest sprzymierzeńcem. Rozpoczynając swą karyerę polityczną, dążył on do przymierza z robotnikami; wydał wówczas broszurę socyalistyczną, komunikował się z Motzem i przyjaciołmi Marxa, a w parlamencie oskarżał kapitalistów, iż człowiek jest dla nich towarem. Lecz rozszedłszy się z partyą socyalistyczną, został protektorem drobnego kapitału, zjednywał sobie cechy przez agentów, połączył się z antisemitami, popierał kandydatów narodowo-niemieckich, założył stowarzyszenie „skonfederowanych chrześcian,“ stanął w sprzeczności z dostojnikami kościoła. Wreszcie, objąwszy ster stronnictwa klerykalnego, wszczął walkę zaciętą z mieszczaństwem, z wolnością polityczną i z postępem społecznym. Oto są dzieje tego człowieka, który przed kilku jeszcze miesiącami na wiecu katolickim z tryumfem ogłaszał, że pewny jest blizkiego zwycięztwa, a dziś, przewidując klęski swego stronnictwa, cofa się z miejsca naczelnego. O ile postępowanie to cechuje arystokratę w najgorszem tego słowa znaczeniu, o tyle zdradza z drugiej strony bystry pogląd na sytuacyę obecną. W liście swym do hr. Brandisa tłomaczy Lichtenstein krok swój zmianą stosunków parlamentarnych, zmianą, która zapowiada się jako trwała. Właściwie mówiąc, nie nastąpiła ona jeszcze, ale nastąpi; będzie nią zaś zwycięztwo młodoczechów przy wyborach do parlamentu. Ks. Lichtenstein niema ochoty podejmować walki z nowym a groźnym tym przeciwnikiem. Niechaj się stanie z nowelą szkolną, co stać się musi— będzie to klęska klerykałów, ministra Gautscha, gabinetu Taaffego — ale nie klęska ks. Lichtensteina. Opuścił on swe stanowisko, lecz rzesza jego bynajmniej uczynić tego nie zamyśla. Owszem, sądząc po ludziach, z jakich się składa, żądania swe przeprowadzać będzie nadal z większą jeszcze bezwzględnością. Agitacya, wywołana swego czasu przez Lichtensteina, zbyt głęboko poruszyła koła związane z klerem, iżby walka o szkołę wyznaniową miała się zakończyć bez walnej bitwy parlamentarnej i publicystycznej. Lawina toczy się niepowstrzymanie: duchowieństwo niższe, lud sam i prasa klerykalna napierają zbyt silnie na głowy stronnictwa zachowawczego, które oddawna narażały się na zarzut, iż zbyt dyplomatycznie postępują i nie dość energicznie prowadzą sprawę. Jest to rzeczą wielce prawdopodobną, że ster stronnictwa przejdzie obecnie w ręce grupy Zallingera, a w takim razie cecha klerykalna zachowawczego stronnictwa wystąpiłaby tak silnie, że musiałby nastąpić rozkład w łonie prawicy. Tak więc zwycięztwo młodoczechów, które spowodowało ustąpienie ks. Lichtensteina, grozi niebezpieczeńswem podwójnego rozbicia obecnej większości parlamnntarnej, luzując węzły spajające grupę posłów czeskich i rzucając zarzewie głębokiej sprzeczności między klerykałów a resztę prawicy. Dlatego to rząd stara się wzmocnić stanowisko staro-czechów, wybierając namiestnika z ich grona, dlatego sam zaczął kokietować z liberalną opozycyą niemiecką, w której słusznie upatruje sprzymierzeńców młodo-czechów w sprawach postępu. Sytuacya wikła się coraz bardziej; walki, których widownią stać się ma parlament austryacki, można rozniecić, lecz nie można ich zażegnać. Hr. Taaffe obmyślił na razie plan, który groźne owe starcia wysunie po za przyszłość bezpośrednią. Zapowiedziawszy zrazu zwołanie sejmów krajowych na początek września, przyśpieszył je na 10 października. Po sześciotygodniowym okrêsie sejmowym, z końcem listopada zwołaną będzie Rada państwa; a zanim prace parlamentarne rozpoczną się na seryo, już święta wielkanocne spowodują przerwę dłuższą. Tak więc właściwa sesya parlamentarna redukuje się do czasu bardzo krótkiego, który starczyć będzie zaledwie na załatwienie spraw najniezbędniejszych. Kto wie, o ile stosunki tymczasem zmienić się mogą! Byleby uzyskać dzień, a burzę oddalić. Takimi to środeczkami posługuje się jowialny kierownik gabinetu austryackiego, który ową maksymę rzymskich mężów stanu wyraził w narzeczu wiedeńskiem, ogłaszając pamiętne hasło: „Sich durchfretten!“ (Prześliznąć się).

Teatry wiedeńskie weszły w ruch. Z Paryża, gdzie walka o przyjemności wielkomiejskie podczas wystawy staje się wprost nużącą, przybywają goście zagraniczni do spokojnego Wiednia, by tu odetchnąć i swobodnie użyć Burgtheatru, opery i „specyalności wiedeńskich.“ Atoli duch ażiotażu nie chce się odczepić od stóp uprzywilejowanych swych ofiar i nigdy może pokątna licytacya biletów teatralnych, mimo surowego zakazu policyi, takich nie dosięgała rozmiarów, jak obecnie. Jeden z humorystów wiedeńskich podsłuchiwał rozmowy, wśród której zawodowi handlarze biletami sprzedają karty dystyngowanym swym odbiorcom. W ciemnej bramie ujrzał on przedstawiciela jednego z najdawniejszych rodów austryackich: Panie hrabio — twierdził przekupień — należysz pan do najdawniejszych mych odbiorców, ale Renardówna — zważ pan, panie hrabio! — sama mnie tyle kosztuje! — Na Michaelerstätte, pod dawnym budynkiem Burgtheatru, jest mała restauracya, w której tradycyjnie kwitnie licytacya biletów; bramy domów okolicznych są niemniej ulubione. I podczas gdy szczęśliwy nabywca, wychodząc na ulicę, zwiastuje żonie i córkom niecierpliwie nań czekającym: słuchajcie, dostałem śliczne miejsca! — nieszczęśliwy handlarz opuszcza nieraz bramę ową w towarzystwie funkcyonaryusza policyjnego, który przyrzeka mu również „śliczne miejsce.“

Wszystkie teatry wiedeńskie wystąpiły z nowościami. Burgtheater, który pod dyrekcyą dr. Forstera po części przynajmniej spełniać chce zadanie poważnej instytucyi dramatycznej, pielęgnuje klasyków austryacko-niemieckich, wystawiając ich sztuki, które z różnych powodów bądź to wcale wystawione nie były, bądź usunięte zostały z repertuaru. W zeszłym sezonie wystawiono Hebbla „Gyges und sein Ring,“ obecnie — Grillparcera „Die Jüdin von Toledo.“ Sztuka ta jest owocem studyów autora nad dramatopisarstwem hispańskiem, jego zajęcia się utworami Lope de Vegi, z którego dramatu „Pokój królewski czyli żydówka z Toledo“ niemiecki poeta zaczerpnął temat. Usunął cuda, zastępując je motywacyą psychologiczną i pogłębił charaktery postaci głównych. Rachela, córka starego Izaaka, dziewczyna ambitna, bystra, zalotna, podbijająca wszystkich powabem, postanawia zdobyć sobie serce króla, który żyjąc u boku chłodnej, cnotliwej angielki, rozgląda się za rozkoszną sielanką miłosną. Nadarza się sposobność, przy której Rachela roztaczając swe powaby, rzuca się w ramiona króla i — zwycięża. Królowa, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, skazuje Rachelę na stracenie, dokonane w obecności zgromadzonych grandów; król zaś daje w siebie wmówić, że Rachela należała do kobiet przestępnych, godzi się na wolę żony i sam wrzuca do grobu Racheli jej obraz. Jest to jedna z owych sztuk Grillparcerowskich, w których po świetnych początkach, wyczerpana siła poety traci polot dramatyczny i kończy sofizmatami i nieprawdopodobieństwami to, co zawiązało się w sposób głęboko poetyczny. Nie jest to tragedya historyczna, gdyż brak jej zupełnie kolorytu epoki.

Volkstheater wystąpił już z szeregiem nowości i dobrze dobranych wznowień. Nowością była komedya Franciszka Schönthana i Gustawa Kadelburga „Die berühmte Frau.“ Sztuka ta, napisana dla Volkstheatru, odznacza się moralną tendencyą i komizmem dosadnym, acz płytkim. Nie to powinno być celem kobiety, by zwrócić na siebie uwagę tłumów, lecz szczęście rodzinne. Naturalnie że mowa tu o pół-talentach. Morału tego nie podają autorowie widzowi w sposób natrętny, niesmaczny, lecz wypływa on sam z szeregu scen wesołych, których ugrupowanie zdradza wprawną rękę modnych tych komedyopisarzów.

Teatr „an der Wien“ obdarzył publiczność wiedeńską nową operetką, skomponowaną przez Dellingera, kompozytora „Don Cezara.“ „Kapitan Fracassa,“ to znany tytuł czasopisma neapolitańskiego; we Włoszech nazywają jednak „kapitanem Fracassą“ samochwała o minie marsowej, a duszy tchórzowskiej. Jest to typ odpowiadający Papkinowi Fredry, a wyzyskany już niejednokrotnie w operetkach (generał Bum-Bum w „Wielkiej księżnie,“ pułkownik Ollendorf w „Palestrancie,“ Archibald w „Błaźnie królewskim“). Treść operetki stanowi intryga Fracassy, zdążająca do rozdzielenia pary kochanków, którzy naturalnie w końcu się łączą. Muzyka Dellingera nie odznacza się oryginalnością, atoli zawiera liczne numery śpiewne, pozostające w pamięci, oraz parę śpiewów zbiorowych, wywołujących harmonijne wrażenie. „Kapitan Fracassa“ odniósł tryumf ułatwiony okolicznością, że rolę tytułową grał ubóstwiany przez wiedeńczyków Girardi.

„Die Himmelsleiter“ — oto tytuł nowości Carltheatru. Owa „Himmelsleiter“ jest godłem wyrażonem na szyldzie nowej restauracyi, połączonej z browarem. Browar ów należy do braci Druselmanów. Kaspar, trzymając się tradycyi ojców, produkuje piwo lekkie, wodniste, podczas gdy Piotr zapoznał się z nowymi aparatami i wybornem swem piwem zdobywa sobie szerokie koło odbiorców. Zwaśnieni bracia ostatecznie się schodzą, a zgodę ich uświetnia para ślubów łączących domy Druselmanów. Farsa ta, ułożona przez W. Mannstädta i Karola Lindaua, berlińczyków, mimo wdzięcznej muzyki Klubera, słabe tylko miała powodzenie; ratował ją wyborny komik Blasel, obecny dyrektor Carltheatru, występując w roli Kaspra.

Onegdaj odbyło się uroczyste otwarcie teatru hr. Esterhazego, wybudowanego przez Fellnera i Helmera w posiadłości znanego tego sportsmena i mecenasa sztuk pięknych, w Totis. Na każde przedstawienie przybyć można z Wiednia pociągiem pośpiesznym. Hr. Esterhazy złożył sobie towarzystwo z młodych artystów i artystek, którzy z powodzeniem ukończyli konserwatoryum wiedeńskie. Mówią, że zamiłowanie hrabiego do sztuki dramatycznej nie jest zupełnie platonicznem. *Stwosz.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

JARMARK CHMIELARSKI.

Pierwszy jarmark chmielowy, otwarty 24 września i trwający dziesięć dni, został zamknięty 4 bieżącego miesiąca i jako fakt dokonany nadaje się już do rozwagi. Samo ustalenie jego jest prostym skutkiem powstania w kraju nowej gałęzi gospodarstwa wiejskiego — uprawy chmielu. Produkcya towaru wymaga jego zbytu, czego naturalnym objawem musi być jarmark, czy też inna jaka postać poszukiwania spożywcy przez wytwórcę — i odwrotnie. Jakie są widoki rynkowe dla tego nowego kierunku wysiłków naszych ziemian? Nie mamy pod ręką danych, określających średni urodzaj chmielu na stałym lądzie Europy, w tym roku wyraża się on w następujący sposób. W Austro-Węgrzech zbiór chmielu wynosi 130,000 centnarów celnych (w tej liczbie 8,000 c. przypada na Galicyę), w Bawaryi 310,000 w Wirtembergii 100,000, w Badeńskiem 60,000, ogółem w całych Niemczech — 620,000. Francya zebrała 60,000, Belgia 90,000, Rosya przy względnie najgorszym urodzaju — tylko 20,000 pudów. Razem na całym kontynencie tegoroczną wytwórczość chmielu obliczają na 925,900 cent. celnych, gdy tymczasem Europa (prócz Anglii) spożywać go ma rocznie 750,000 c. Zostaje więc przewyżka o 175,000 c., którą, o ile Ameryka swojem współzawodnictwem (wywozi chmielu 100,000 cent.) nie stanie na przeszkodzie, pochłonąć może Wielka Brytania, potrzebująca zwykle 170,000 c. tego towaru. Jaki taki skrawek i my zjadamy. Ale nie sięgając tak daleko, mówmy tylko o sobie. Wedle wykazów akcyznych Królestwo Polskie spożywa chmielu prawie 17,000 pudów rocznie, Cesarstwo zaś—około 70,000. Zakres więc rynku przedstawia się nie źle i może na przyszłość być silnym bodźcem dla rozwoju chmielarstwa krajowego. Tymczasem jednak przebieg tegorocznego jarmarku *pierwszego* dowodzi, do jakiego jeszcze stopnia przedsiębiorstwo to u nas naznaczone jest niemowlęctwem. Na 1,614 pudów i 6 f. chmielu dowiezionego przez plantacye Królestwa oraz niektóre Cesarstwa (z gub. wołyńskiej, grodzieńskiej itp.) zdołano sprzedać w ciągu dziesięciodniowego trwania targowiska tylko 900 p.! Jakaż to kropla w morzu 17,000 p. konsumcyi. Umowy kupna—sprzedaży przychodziły do skutku ospale, a nawet z cofaniem się. Oczekiwano ciągle „punktu kulminacyjnego" ożywienia, łudzono się terminami, które spokojnie mijały, mało usprawiedliwiając nadzieje. Ceny wciąż ofiarowywano nizkie. Co szczególniejsza, pomiędzy nabywcami przeważali nie spożywcy krajowi, lecz zagraniczni, prawdopodobnie celami spekulacyjnymi zwabiani (Eismanny, Heidlingery, Müllery, Kohny z Norymbergi). Tranzakcye zawarte przez krajowych piwowarów na palcach policzyć by można: w cztery dni po otwarciu jarmarku, kiedy stanowczość wytwórców zrobiła była na chwilę wrażenie, dokonano sprzedaży dwóch partyj chmielu, ogółem 100 pudów, po cenie od 23 do 25 rs. za pud. Jedną z nich nabył p. Jung, drugą p. Machlejd.

Takie skutki jarmarku podobno były „przewidziane" przez komitet jarmarczny. Przyczyną tego ma być zadługi okres czasu targowego — 10-cio dniowy. Nabywcy, korzystając z tej okoliczności, zwlekali z kupnem w myśli zniewolenia wytwórców do ustępstw na cenie. Ażeby temu zapobiedz na przyszłość, komitet postanowił wyjednać skrócenie terminu trwania jarmarku z 10 na 5 dni, od 25 do 30 września z warunkiem przyjmowania chmielu z odległejszych plantacyj na ośm dni przed otwarciem. Niezależnie od tego, słyszeliśmy o innej radzie. Całodzienne targi, tj. od 7 z rana aż do zmroku dawały zbytek swobodzie kupieckiej, co wpływało również ujemnie na szybkość obrotów. Otóż oznaczenie kilku godzin giełdowych, np. od 12—3, dla zawierania umów, mogłyby tę niedogodność usunąć. Ale to są wszystko, zdaniem naszem, sposobiki sztuczne, okolicznościowe, obliczone mylnie na podniesienie skali popytu. Sądzimy, że istnieć muszą u nas głębiej tkwiące przyczyny tego bezwładu wobec krajowego chmielarstwa. To pole w naszym kraju leżało długo ugorem, piwowarstwo polskie obsługiwali i obsługują niemcy swoim chmielem, który na mocy doświadczenia gospodarczego musi być jakościowo doskonalszym. Czynniki klimatyczne, jako nieoznaczone w swym wpływie, wyłączamy, a mamy na względzie kulturowe, które są do przyswojenia.

Drugim warunkiem, utrwalającym obecny stan rzeczy, jest stosunek naszych piwowarów do firm handlowo-chmielarskich w Niemczech. Zadziergnięto podobno węzeł zależności kredytowej. Czy nie będzie to czasem powtórzeniem tego, co z wełną, którą fabrykanci nasi, skutkiem braku kapitału obrotowego, wolą nabywać u kupców zagranicznych na weksle, niż w kraju za gotówkę? Ale z chmielem rzecz się ma podobno o tyle gorzej, że ułatwienia wekslowe kupców chmielu niemieckiego są uwarunkowane monopolem na naszym rynku... Otóż, jeżeli udział chmielu krajowego w spożyciu rocznem Królestwa (tj. w stosunku do 17,000 p.) nie ma wyrażać się stale 9% (licząc, że 1,614 p. dowiezionego zostaną całkiem zakupione), zadaniem delegacyi chmielarskiej przy Tow. pop. przemysłu i handlu winno być gruntowne zbadanie tych dwóch kwestyj. Uświadomienie sobie położenia, przy niesłabnącej przedsiębiorczości, byłoby pierwszym krokiem na drodze ku wyzwoleniu, tembardziej że na „obradach" uznano przecież potrzebę statystycznych danych o uprawie chmielu.

Zyg. Piet.

BADANIA NAUKOWE.

APOSTOŁ USPOŁECZNIENIA.

Zmarły w zeszłym roku 33-letni M. Guyau należał zaiste do rzadko uzdolnionych natur. Można nie zgadzać się z wypowiadanymi przezeń poglądami, w żadnym jednak razie niepodobna im odmawiać piętna wysokiej oryginalności i samodzielności. Nawet w zagadnieniach najbardziej oklepanych umiał dojrzeć zawsze jakąś nową a niepostrzeżoną stronę. Zaprzątały go zwłaszcza pytania z dziedziny etyki. W tej mierze napisał znaczną rozprawę o teoryi Epikura i drugą o tegoczesnej etyce angielskiej. Z dotyczasowych wszakże prac przedewszystkiem dwie inne zwracają uwagę: *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction* i *Irréligion de l'avenir*. Do nich przybyła trzecia, pośmiertna, świeżo wydana pod redakcyą Fouilléa: *Sztuka w oświetleniu socyologicznem* *). W druku znajduje się jeszcze rozprawa o stosunku wychowania do dziedziczności, i druga o rodowodzie pojęć czasu. Wszystkie te prace są związane jedną wspólną nicią przewodnią. Stuleciu dziewiętnastemu, zdaniem Guyau, przypadło w udziale wielkie zadanie, mianowicie należyte oświetlenie społecznych właściwości jestestwa ludzkiego i wogóle żyjącego, zbyt pomijanych przez materyalizm przeszłowiekowy, który widział tylko osobniki. Jednostka, którą pojmowano jak coś zamkniętego w sobie i odrębnego w swej samodzielności, okazało się, że jest z gruntu podatna wpływom innych osób, solidarną z innemi świadomościami. Jak niepodobna zamknąć w ciele ciepła, aby nie promieniowało, tak samo nie można tego zrobić z wruszeniami moralnemi. Zjawiska duchowe są z natury swojej zaraźliwe. Tylko co poczęto badać fakty współczucia nerwowego i umysłowego, zarazy duchowej, poddawania idejowego, wpływów hypnotycznych. Są to przypadki chorobliwe, lecz rzucają światło i na stany zdrowotne zależności duchowej. Być może, wiek dziewiętnasty skończy na odkryciu wielkich praw świata moralnego: ciążenia woli i wrażenia, solidarności umysłów, przenikania wzajemnego pojedynczych świadomości. Oprze on wtedy psychologię i socyologię na podstawach naukowych, jak ubiegły zrobił dla astronomii i fizyki. Atoli owo współżycie świadomości, jakkolwiek dopiero przeczuwane, dla zmarłego Guyau nie ulegało już wątpliwości. Rozwój społeczny był w jego rozumieniu jedynie coraz szerszem ustanawianiem tej zależności. Z tego też punktu widzenia pisane są wszystkie jego prace, które, wybiegając po za fakty dowiedzione naukowo, często stawały się poniekąd wyznaniem wiary w nieudowodnioną jeszcze współłączność świadomości pojedynczych.

Książka o sztuce w oświetleniu socyologicznem jest dalszym ciągiem poprzednich prac autora. W dziele o przyszłości religijnej usiłuje on dowieść, że religia jest próbą wytłomaczenia przyrody według wzorów społecznych. Polega ona na idei, że pomiędzy człowiekiem a potęgami twórczemi istnieje pewna społeczność, swego rodzaju przymierze. Jednostka ludzka staje się wierzącą, kiedy po nad ludzkiem ograniczonem współżyciem gromadnem umieszcza inne, potężniejsze, obejmujące w sobie cały wszechświat, i dąży do wejścia z niem w stałe stosunki za pośrednictwem kultu. Podobnie i metafizyka, rozpatrywana z tego punktu widzenia, ukazuje nowe oblicze. Przestaje być ona wyrazem subjektywnej dowolności, lecz jest objawem szukania tego spoidła społecznego, któreby wiązało czujący podmiot z całością wszechświata. Usiłuje ona rozszerzyć życie społeczne do calej istności i pojąć tę ostatnią jako szczególną społeczność z pojedynczych bytów. Jeżeli teraz przejść do dążeń moralnych, znamię uspołecznienia występuje tutaj jeszcze jaskrawiej. Pojedynczy osobnik ludzki jest już swego rodzaju społeczeństwem, złożonem z oddzielnych komórek. Gdyby rozpatrywać moralność jedynie ze stanowiska jednostki żyjącej, jako wyjaw najbardziej napiętego a rozciągłego życia, już i wtedy byłaby faktem natury społecznej. Ale idzie ona jeszcze dalej w swych uspołecznionych dążnościach, ukazując się jako wypowiedzenie współczesności wól osobniczych i zbieżności działań. A zatem przedstawia ona w ten sposób podmiotową stronę współdziałalności gromadzkiej. Wreszcie wychowanie polega na nieustającem „poddawaniu" dziatwie idej i zamiarów moralnych (tj. uspołecznionych), z celem poprawienia ujemnych skutków wrodzonej dziedziczności... Jest to środek odebrania kogoś u samego siebie i utożsamienia go z innymi członkami społeczeństwa.

Słowem, religia i metafizyka są próbami uspołecznienia podmiotu z wszechświatem, moralność zaś — wyjawem uspołeczniania pragnień i działań. Pozostaje się jeszcze dziedzina wrażeń i wzruszeń. Na pozór jest to coś niezmiernie dowolnego i subjektywnego, jak daje się nawet zauważyć w tem zjawisku, że nigdy nie przychodzi do sporu, która barwa jest piękniejsza i gust lepszym. A jednak istnieje środek uspołecznienia i tego niesfornego żywiołu. Jest to właśnie sztuka. Z pośród niezwartej i niezgodnej powodzi wzruszeń i wrażeń wybiera ona taką grupę, która mogłaby znaleźć oddźwięk u znacznej liczby osobników i tym sposobem powołać do życia społeczność

*) *l'art au point de vue socyologique.*

wzruszeń artystycznych. Podobnie jak moralność, odwodzi ona jednostkę od życia wyłącznie osobistego, aby dać jej pokosztować rozkoszy uspołecznienia, i sprawia, że serca drgają zgodnie jak głosy w chórze. Społeczność ludzka dąży ku stworzeniu zbiorowej współświadomości i jednego gromadzkiego współczucia; sztuka jest jedną z dźwigni do tego celu. Z tego stanowiska Guyau wyznacza probierz dla sądzenia o wyższości jakiegoś dzieła artystycznego, bada jak należy pojmować gieniuszów sztuki, wreszcie określa zadanie krytyki. Tak np. w jego rozumieniu utwór artyzmu jest tem wyższy, im wrażenia i wzruszenia, których tożsamość stwarza u pewnej grupy osób, są natury podnioślejszej, podniosłość zaś ta zależy od żywości i natężenia wzbudzonych instynktów społecznych. Nie dość tego, potrzeba jeszcze bowiem, aby owe tożsame wzruszenia ogarnęły możliwie szerokie koła. Dziełem wielkiem sztuki bynajmniej nie jest rzecz, która podoba się tylko nielicznemu gronu miłośników; to miejsce należy się z prawa jedynie takim utworom, co mogą wzruszyć chociażby całą społeczność, a które odznaczają się niezwykłą szczerością i prostotą, tak, iż mogą wywołać drganie serca u każdego, jednocześnie są na tyle głęboko pomyślane, że zdołają dostarczyć pokarmu umysłom najwybrańszym. Wielka sztuka przypomina przyrodę, w której każdy odczytuje, co zdolen jest zrozumieć...

Jeszcze oryginalniejsze są poglądy francuskiego filozofa co do istoty gieniusza poetyckiego i artystycznego. W jego przedstawieniu jest to nader silny wyraz współczucia i uspołecznienia, który znajduje dla siebie jedyne zaspokojenie w powoływaniu do życia nowych światów, złożonych z jestestw życiem drgających. Stwarza on z głębi własnego życia nowe a oryginalne życie, nieistniejące, lecz możliwe. Badając twórczość geniuszów w związku z otoczeniem, w którem one przebywają, mamy do czynienia z trojakiem społeczeństwem: naprzód z istotnem, przedistniejącem, co wydało geniusza i poniekąd pobudza go do twórczej działalności; następnie ze światem urojonym dążeń, namiętności i myśli, który zrodził się w umyśle twórcy i jest pewnem zadzierganiem na kanwie możliwości; wreszcie z gronem społecznem, złożonem z wielbicieli gieniusza, co przejęli się jego ideami i dążą ku wcieleniu ich w życie. Słowem, twórca dzieła artystycznego, wyszedłszy z pewnego społeczeństwa, powołuje do życia nowe i zmienia stare światy. Z określeniem gieniusza wiąże się definicya zadania krytyki. Otóż Guyau jest stanowczym przeciwnikiem, aby zajmowała się ona rozbiorem duszy pisarza lub otoczenia, z którego wyszedł ten ostatni; przeciwnie, winna ona wyłącznie poprzestać na samem dziele i zająć się wytłomaczeniem jego treści mniej wrażliwym widzom i czytelnikom. Najpierwszem zadaniem krytyka jest roztoczenie przed rzeszą społeczną wszystkich, zwłaszcza zaś najmniej zrozumiałych piękności tworu artystycznego. Wreszcie nasuwa się jeszcze jedno pytanie. Sztuka jest nawiązywaniem wrażeń sojuszu społecznego, co czyni przez wzbudzania współczucia ku wyprowadzanym w utworze postaciom. Kiedy więc te ostatnie są zdolne do owego posłannictwa, tj. do wytwarzania u kogoś współczucia? Otóż potrzeba, aby drgały życiem, gdyż tylko żyjące jestestwo wyzywa względem siebie jakieś uczucia, a nadto odznaczały się wyraźną indywidualnością...

Takie są podstawowe założenia zmarłego myśliciela, z których wychodząc wdaje się on w drobiazgowy rozbiór różnych zagadnień estetycznych: na czem polega normalny stosunek realizmu a idealizmu w sztuce, co stanowi istotę stylu itd. Zwłaszcza ciekawe są stronice, poświęcone nowoczesnej powieści, którą uważa za swego rodzaju epopeję XIX stulecia; rozpatruje tutaj romans społeczny i psychiczny, zatrzymując się nad wybitniejszymi pisarzami Francyi. Jednakże są to już stronice idejowo drugorzędnego znaczenia i z tego powodu pominiemy je milczeniem. Guyau zresztą przypisywał sztuce większe wpływy, aniżeli możnaby sądzić z powyższego streszczenia. Mianowicie, w jego rozumieniu, wierzenia religijne winny z biegiem czasu silnie osłabnąć a nawet zupełnie zaniknąć — naprzód wśród warstw oświeconych, wreszcie drogą zarazy umysłowej i w reszcie społeczeństwa. Lecz, im mniej religie zaspakajać będą drgającą w nas potrzebę ideału, tem bardziej sztuka w połączeniu z filozofią wzniosą się wśród społeczeństw. Artyści zostaną kapłanami nowej religii społecznej, bez dogmatów. Myśliciel francuski, kreśląc przyszłe dzieje sztuki i jej wpływów uspołeczniających, poświęca ostatnie kartki swego dzieła „dekadentystom" (artystom upadku). Czasami jest to panujący typ w literaturze, mianowicie podczas chwil ogólnego rozkładu społecznego, odznaczający się między innemi wynoszeniem formy po nad treść wewnętrzną; niekiedy znowu zjawia się w następstwie cząstkowego rozprzężenia, co idzie w parze z wszelkim postępem. W tej mierze czyni autor ciekawe zestawienia. Rozpatruje przedewszystkiem literaturę różnych natur wykolejonych z starganą równowagą duchową: newropatyków, obłąkańców, zbrodniarzów z urodzenia. Prace Lombrosa dostarczają mu potrzebnego materyału. Skreśliwszy cechy tego artyzmu, wylęgającego się w celach więziennych, przechodzi następnie do Baudelairea i in. poetów dekadentyzmu, aby wykazać w ich utworach te same rysy duchowe...

Powyższy przegląd, mimo całej swojej pobieżności, jak sądzimy, pozwala na dojrzenie bogactwa myślowego w książce Guyau'a. Ograniczyliśmy się do najzupełniej przedmiotowego przedstawienia wypowiedzianych poglądów. Na zakończenie pozwolimy sobie wszakże rzucić jedno pytanie. Geniusz, zdaniem Gauyau'a, naturalnie artystyczny, jest silnym wyrazem dążności uspołecznionej. „Jest to potężne źródło miłości, które dąży, jak wszelka miłość, ku płodzeniu i stwarzaniu życia. Wobec tych twierdzeń nasuwa się nam jeden obraz. Przypuśćmy, że przed twórcą grupy Laokonowej rozgrywa się ta ponura scena, kiedy potwory w swych uściskach duszą ojca i synów. Party współczuciem bieży on na pomoc. Lecz walka wężów z ludźmi dosięga szczytu: mięśnie naprężone w mocowaniu, ponura rozpacz we wzroku umierającego syna, wściekłość u ojca... Artysta staje przed roztoczonym widokiem. Zapomina o węzłach społecznych z ginącą grupą, bo przed oczami jego drga obraz, którego poszukiwał w marzeniach twórczych. Rodzi się społeczny sojusz z światem urojeń i artysta cały współżyje z wdziękiem strasznej sceny, co urzeczywistniła jego sny twórcze. Jedno społeczeństwo, istotne, ziemskie, zostało poświęcone innemu, pielęgnowanemu w wyobraźni. Jeżeli więc geniusz artystyczny jest „potężnem źródłem miłości," miłość ta nie zawsze idzie w kierunku rzetelnego...

K.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE

Ze zjazdu międzynarodowego psychologów w Paryżu. Jak już wiadomo czytelnikom *Prawdy*, podczas wystawy odbył się pierwszy międzynarodowy zjazd psychologów. Zbyteczna rozwodzić się nad znaczeniem tego faktu, tem bardziej, że w obecnej chwili chodzi nam o coś innego. Oto w pracach i mowach zjazdu zwraca na się uwagę dobitne zaznaczenie tej okoliczności, że jednostkowa pobudka i jednostkowe starania są niewystarczające dla postępu wiedzy psychologicznej. Potrzeba teraz w niektórych zakresach czegoś więcej — zrzeszenia wysiłków. Przekonanie to zwłaszcza wypowiedział w mowie swej Richet. Zresztą tym razem zdawał on sprawę jedynie z drogi już dawno obranej. Przed czterema laty podjęło podobną zbiorową pracę londyńskie *Society for psychical research* (Towarzystwo dla badań psychicznych) nad statystyką i częstością objawów halucynacyjnych; niedawno znowu paryskie Towarzystwo psychologiczne przedsięwzięło taką samą pracę nad dziedzicznością, zwłaszcza uzdolnień umysłowych i moralnych. Wspomniany badacz francuski konieczność zrzeszenia podnosi z silnym naciskiem. „Nikt nie może zaprzeczyć dziedziczności znamion psychologicznych i fizyologicznych, ale kiedy chodzi o wyznaczenie warunków, nauka posiada dowody, które ledwie zasługują na uwzględnienie, tak są nieścisłe i ciemne. Dla wyjścia z tej niepewności nie wystarczają luźne wzmianki, tutaj niezbędną jest praca zbiorowa!"

Gdyśmy już potrącili o zjazd psychologów, nie od rzeczy będzie zatrzymać się nieco nad jednem z poruszonych tam zagadnień, mianowicie nad kwestyą dziedziczności. Jest to sprawa nadzwyczaj ważna. Antropologia wypowiada się w tej mierze bardzo stanowczo, zauważając, że prawa dziedziczności są najpotężniejszą dźwignią dziejów i podstawą przyszłego postępu. Jeżeli na zjeździe ktoś wykrzyknął z żalem, że „hodowcy bydła badają z największą usilnością warunki dziedziczności, tymczasem nic podobnego nie robi się dla człowieka!" — można widzieć w tem coś więcej, niż skargę roznamiętnionego specyalisty. Między innymi znany angielski antropolog Galton zabrał głos w tym przedmiocie. Niedawno wydał on świeżą pracę *Natural Inheritance*, o której niebawem pomówimy szczegółowo. Na zjeździe zaś dotknął niektórych zjawisk. Przedewszystkiem zaznaczył potrzebę zbadania w zakładach położniczych, o ile jest uprawnionem mniemanie, że matka, która podczas brzemienności doznała szczególnych wzruszeń, wydaje na świat dzieci z odpowiednimi znakami. Możnaby to osiągnąć przez zapisywanie przepowiedni matki przed urodzeniem dziecka, oraz stwierdzenie, czy się spełniły. Z powyższem pytaniem łączy się inne, zarówno dla względów naukowych, jak i społecznych, będące największej wagi. Jest to sprawa odziedziczania właściwości, nabytych w życiu rodzicielskiem. Nastręczają się jednak w tym razie trudności techniczne, i prowadzenie badań najlepiej ograniczyć do zwierząt, zwłaszcza takich, których hodowla znajduje się w ręku ludzkiem i gdzie pokolenie za pokoleniem zjawia się w krótkim czasie (np. kury). Inne pytania dotyczą stałości objawów z pokolenia na pokolenie, powstawania nowych odmian itd. i są tylko streszczeniem odpowiednich ustępów z wymienionej książki. Przy rozpatrywaniu dzieła wspomnimy o nich.

Towarzystwa i ligi pokoju. Świeżo wyszła broszura o działalności tak zwanych lig pokoju. Sama myśl zastąpienia wojen przez sądy polubowne kiełkuje już od początków tego stulecia. Pobudkę dali londyńscy kwakerzy, którzy powołali do życia około r. 1815 pierwszy związek pokoju. Jednocześnie, chociaż niezależnie, powstały dwa podobne stowarzyszenia w Stanach Zjednoczonych: jedno w New-Yorku, drugie — w Ohio. Wreszcie w końcu piątego dziesiątka lat rozpoczyna swą propagandę amerykanin Elihu Burrit, z rzemiosła kowal. Przebiega on Anglię, Francyę, Szwajcaryę, rozrzucając swe odezwy, zwane „manifestami obronnymi" i obwieszcza ludom hasło pokoju. Atoli ruch poważniejszy rozpoczyna się później, przed dwoma dziesiątkami lat. Za cel swych wysiłków stawia

on zaprowadzenie międzynarodowych instytucyj rozjemczych, powołując się na dwa wypadki podobnego rodzaju w ostatnich czasach, mianowicie na sąd polubowny w Genewie 1872 r. z powodu zatargu alabamskiego i na wyrok papieża w sprawie o wyspy Karolińskie. Anglia i Stany Zjednoczone są głównemi jego ogniskami. W Ameryce istnieją 4 niezależne związki. Jeden „Arlibation League" domaga się sprawiedliwości i uprzejmości w stosunkach z obcymi krajami, zaprowadzenia międzynarodowych sądów polubownych, zmniejszenia armij stosownie do ugody; potępia wszelkie wtrącanie się w sprawy i zatargi obcokrajowe i toruje drogę przyjaźni pomiędzy ludami. Inny znowu rozszczepił się na 29 pomniejszych związków. Wydają one 5 czasopism w celu szerzenia swoich przekonań. W Anglii naliczyć można 8 związków z 3 organami; najwięcej członków, bo do 14 tysięcy, posiada „Local Peace Association." Nader liczne są tego rodzaju związki we Francyi wraz z odpowiedniemi wydawnictwami. Idą one dalej i wypowiadają się wyraźniej, niż jakiekolwiek inne. „Stowarzyszenie przyjaciół pokoju" osądza prawa zaborcze, nawet mające przeszłość historyczną; „Federacya międzynarodowa pokoju i zgody" wywiesza hasło: „prawa dla wszystkich ludów!"; związek młodzieży w Nimes domaga się zastąpienia militaryzmu przez pospolite ruszenie, tak, iżby każdy obywatel miał broń w domu dla ochrony praw swoich; „Związek pokoju z Clermont-Ferrand" głosi hasło komuny: „w pokoju a pracy!" Najgorzej prąd rozpatrywany wygląda w ojczyźnie nowoczesnego militaryzmu — w Niemczech. Ogółem istnieje 36 związków w różnych krajach z 13 stałemi czasopismami. Zauważyć warto, że szermierze idei pokojowej w ostatnich czasach postanowili głównie działać na umysły dzieci. Szkoły początkowe stają się środkiem i ogniskiem propagandy, a pozyskiwanie nauczycieli głównym celem, przynajmniej w Ameryce. Zastąpienie obecnych książek dziecinnych, tak hojnych w śpiewaniu hymnów na chwałę wzajemnego mordowania się ludzi pomiędzy sobą, odpowiedniejszym pokarmem wysunięto na plan pierwszy. Amerykański związek pokoju wydaje nawet specyalne czasopismo dla dzieci: *The Angel of Peace* (Anioł pokoju). We Francyi istnieje t. zw. „Societé française de la Paix par l'Education," które postawiło sobie za jedyny cel propagandę wśród dzieci i młodzieży. Angielska „Local Peace League" liczy wśród swych członków kilka tysięcy dziatwy. Co do innych środków propagandy, mamy przed sobą kilka broszur. Są to często krótkie zdania z Biblii: „Chwała Panu na wysokości, pokój ludziom dobrej woli na ziemi," powtórzone w 5 i więcej językach; to znowu przedruki nawet najdawniejszych pamfletów przeciw wojnie, np. Erazma Rotterdamczyka; to wreszcie bardzo zręcznie ułożone pytania bez odpowiedzi. Oto wyjątki z broszurki bostońskiej *Peace and Arbitration topics*. Każe np. autor pomyśleć czytelnikowi nad tem, co kosztuje wojna pieniędzy, rzeczy zmarnowanych, straconej pracy, środków przewozowych. No, lepiej zresztą przytoczymy dosłownie dwie rubryki pytań: „Straty sprawione przez wojny: w ludzkiem życiu, w ludzkiem zdrowiu (rany, choroby obozowe), w bogactwie materyalnem (Niemcy po wojnie 30-letniej), w talentach i zdolnościach; wpływy życia żołnierskiego na moralność." „Okrucieństwo wojny względem mężczyzn, kobiet, dzieci, zwierząt, jeńców, wrogów." Czytelnik zostaje w ten sposób zmuszony do samodzielnej odpowiedzi i pomyślenia nad przedmiotem.

LITERATURA I SZTUKA.

O NAJNOWSZEM OPRACOWANIU HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

III.

Wizerunku żywota człowieka poczciwego— M. D., jak się zdaje, wcale nie czytał; informacya bowiem, charakteryzująca poemat dydaktyczny, jest nawskróś błędna. Gdy historyk objaśnia, że „treść utworu stanowi *walka człowieka z pokusami świata*, co bardzo przypomina *średniowieczne, klasztorne opowiadania*," czytelnicy mogą dzieło Rejowe (skreślone według *Zodyaku* Palingencsa) uważać za blady płód prawowiernego ascetyzmu, z którym ono, zaisto, nic wspólnego niema. W przypuszczeniu, iż autor nie zapoznał się ze wzmiankowaną pracą apostoła idej protestanckich, utwierdza nas jeszcze jeden szczegół. Na str. 205 czytamy: „Rej *w upodobaniu pojęć reformatorskich posuwał się mniej od innych*." O ile to zdanie, grzeszące ciemnością stylową, zrozumieć można, Dubiecki widzi w Mikołaju z Nagłowic osobę, daleką od krańcowych przeciw kościołowi katolickiemu wycieczek; ale kto najbarwniejszą z prac Rejowych pilnie przejrzał, ten wie, że protoplasta rymotwórców naszych w gorliwem służeniu duchowi czasu mało komu ze współziomków dał się wyprzedzić.

Autor w tonie dogmatycznym powtarza za dawniejszymi uprawiaczami dziejów piśmiennictwa — niesprawdzoną dotąd, głuchą wieść o *„bliższym* stosunku" Jana Kochanowskiego z Ronsardem (I, 215).

Błędnem jest uznane przez historyka, zastarzałe mniemanie, jakoby Mikołaj Sęp Szarzyński wprowadził formę sonetu do naszej literatury: używał jej przecież z powodzeniem już Jan z Czarnolasu; tak np. pierwsza i dwudziesta ósma pieśń księgi drugiej (*Modlitwa o deszcz, Do Jadama Konarskiego*), druga pieśń księgi trzeciej („Nie ma świat nic trwałego...") i inne są wybornymi tego typu okazami. Historyk nasz utrzymuje nadto, że po Mikołaju Sępie Szarzyńskim (str. 250) „aż do Mickiewicza" nikt sonetów u nas nie pisał; zapomina więc o Janie Andrzeju Morsztynie, który, jako uprawiacz danego regionu twórczości artystycznej, daleko większe, niż jego poprzednik, położył zasługi.

W życiorysie Sebastyana Fabiana Klonowicza tkwią jeszcze wszystkie ćwieki, przez bujną wyobraźnię dawnych biografów ukute — jakby odkrycia i rozprawy, w przeszłem ogłoszone dziesięcioleciu, żadnej dla naszego autora nie przedstawiały wartości. Śmierć tragiczna w szpitalu, fałszywy rok zgonu (*1608*, zamiast *1602*) i rzekomy wpływ rokoszu Zebrzydowskiego na losy Acerna — oto szczegóły, które w historyi literatury nie od wczoraj utraciły kredyt. Czemuż je p. Dubiecki tak starannie pielęgnuje?

Stanisław Grochowski, po odcierpieniu kary za *Babie koło*, odzyskał utracone stanowisko, i na probostwie kanonickiem, pisząc panegiryki, spokojnie zbierał majątek; niech więc nikogo nie rozczula podana przez autora, błędna informacya: „prześladowano go tak zawzięcie, iż prawie w nędzy umarł... (I, 267).

Szymon Szymonowicz „studyów żadnych zagranicą nie odbywał" — twierdzi nasz historyk (I, 270), wtórując wywodom Stanisława Węclewskiego, ogłoszonym 25 lat temu; chociaż August Bielowski w r. 1878 dowiódł, że Simonides, jako chciwy nauki młodzieniec, podróżował po Belgii i Francyi.

Dworzanin jest jeszcze dla autora „powieścią niejako historyczną, roztaczającą przed okiem czytelnika obraz ówczesnego społeczeństwa polskiego." Napróżno, widać, w r. 1884 Rafał Loewenfeld podejmował mozolny trud zestawiania naszej kopii z włoskim oryginałem i objaśniał, że *Dworzanin* może być tylko oceniany, jako tłomaczenie, przeniewierzające się w kilku miejscach swemu pierwowzorowi (*Il Cortegiano* Castiglione'go). Pracy tej wszakże lekceważyć niewolno: w historyi stylu polskiego wybitne ona zajmuje stanowisko. Maryan Dubiecki słusznie podnosi ją z tego względu wysoko; ale niepotrzebnie inny utwór Łukasza, *Dzieje w Koronie*, do wspólnego z nią sprowadza poziomu; pamiętniki bowiem Górnickiego nie są już tak pięknym, jak *Dworzanin*, pisane językiem.

Żywoty filozofów Marcina Bielskiego, będące skróconym przekładem pracy Waltera Burleigh'a, podaje M. D. za dzieło oryginalne.

W pierwszym tomie książki, oprócz przytoczonych powyżej, moglibyśmy kilka innych jeszcze wytknąć usterek. Do takich np. zaliczamy: fałszywą datę śmierci Andrzeja Frycza Modrzewskiego (r. 1590, zamiast *1572*); brak biografii i dokładnej charakterystyki Stanisława Orzechowskiego; pewność, z jaką historyk uważa Wielkopolskę za gniazdo rodzinne Drużbackiej (gdy zarówno pobyt jej na dworze kasztelanowej krakowskiej, jak i ostatnie w murach klasztornych schronienie — dość jasno temu przeczą); schlebiającą wreszcie przedawnialej tradycyi dziejopisarskiej, niedostateczną wieku XVII ocenę. „Tło" polityczne, o którego pierwszych zarysach wspominaliśmy, jest w dalszym ciągu bardziej jeszcze nikłe i zdawkowe: o unii brzeskiej np. nie autor nie wspomina; rokosz Zebrzydowskiego — nader pobieżnie określa (354); za najgłówniejszą zaś, kilkakrotnie akcentowaną, *przyczynę* upadku państwa poczytuje nie oligarchiczno-decentralizacyjny jego ustrój, lecz *„prywatę* możnych" — jakby ofiarność obywatelska magnatów nie była wogóle zagadkowym kwiatem paproci, a samolubstwo — naturalnym, istotnym ich atrybutem.

Daleko lepiej stosunkowo opracowano tom drugi; ale i tu, szczególniej w zakresie doby Stanisławowskiej, z błędnemi, spotkać się można często informacyami. Tak np. satyryczną ocenę „obiadów czwartkowych" („A uczone obiady—znasz to może imię..."), wyjętą z wiersza, który jest niewątpliwie dziełem Kajetana Węgierskiego, przypisał historyk Stanisławowi Trębeckiemu; autora *Zofiówki*, wbrew autentycznym dowodom, pochwalił za godną poklasku, bezinteresowność materyalną; malarza *Portretów pięciu Elżbiet* schłostał, w sposób dość niekonsekwentny („Węgierski *gromił mkczemność* ludzką... *„Jad zepsucia zatruł tę duszę* młodocianą..."), a nie wspomniał o utworach, które ze swego stanowiska optymistycznego powinien był koniecznie podkreślić (o wierszu *Do Andrzeja Zamojskiego, Mojej ekskuzie*, itp.); mówiąc zaś o *Organach*, zaniedbał objaśnić, że są one wcześniejszą od *Monachomachii*, przeróbką epopei żartobliwej *Le lutrin* Mikołaja Boileau.

Nie dokończyliśmy jeszcze obfitego spisu różnych usterek, po całej książce rozsianych, a ramy pisma krępują nas i do pośpiechu zmuszają; kilka więc jeszcze tylko wątpliwych zanotujemy wskazówek. „Krasicki (jak mniema autor) w satyrze wstępnej, pod osłoną pochwał, na cześć króla wygłoszonych, nader zręcznie podnosi przedniejszą z jego wad — słabość charakteru." Jest to złudzenie, któremu trudno uledz, jeśli rzeczony utwór, bez powziętych z góry uprzedzeń, trzeźwym ocenimy wzrokiem. „Dobroć serca (śpiewa biskup Warmiński,) monarchom wcale nie przystoi..." Chcąc uznać za prawdę to, co mówi p. Maryan Dubiecki, należałoby w przytoczonych słowach niewidzieć wcale ironii... Wiersz *Do króla*, w progach zamkowych naprędce skreślony, jest niewątpliwie odą dla Stanisława Augusta, a satyra — przeciw jego oszczercom. Bohomolec umarł nie w r. *1790* (str. 93),

lecz w *1784* (stuletnią rocznicę zgonu komedyopisarza-publicysty Adam Bełcikowski sumienną upamiętnił rozprawą). *Zabawy przyjemne i pożyteczne* nie „były *tygodnikiem arkuszowym*,“ jak sądzi autor (II, 130); mamy pod ręką dwie książki tego wydawnictwa: „tomu I-go część I“ (r. 1770) i „tomu XVI-go część I“ (r. 1777); każda z nich przedstawia czternasto-arkuszowy zeszyt o formacie małej ósemki.

Najlepiej stosunkowo jest opracowana literatura z pierwszej połowy bieżącego stulecia; ale i tę część obrazu szpecą wady zasadnicze: brak stałej metody, symetryi w układzie i porządku chronologicznego. Niełatwo np. pojąć, dlaczego autor historyi piśmiennictwa, „na tle dziejów narodu skreślonej,“ mieści Juliana Ursyna Niemcewicza pod znakami „doby Kazimierza Brodzińskiego;“ czemu pomija życiorys twórcy *Śpiewów historycznych*, gdy nad biografiami takich, jak Józef Bohdan Zaleski, anachoretów dość długo się zatrzymuje, a litanią pustych imion całe tu i owdzie zapełnia karty.

M. Dubiecki nie sprostał, jak widzimy, trudnemu zadaniu: zakreślił on sobie zbyt szeroki horyzont, a gromadząc seciny szczegółów, ani sprawdził ich należycie, ani uszeregować, ani poglądem wynikowym oświetlić nie zdołał.

Pomimo to, książka, którą oceniamy, nie jest płodem, zasługującym na bezwzględne lekceważenie. Znać, że pisał ją dobry obywatel kraju, światły badacz przeszłości narodowej. Nacechowana piętnem szlachetnego optymizmu, wszelkim życiodawczym sprzyja czynnikom, a zdrowe ziarno zgody społecznej skrzętnie zasiewa. Za prawdziwą wreszcie pod względem naukowym zasługę p. Dubieckiego poczytujemy:1) notowanie mało komu wiadomych a cennych drobiazgów z dziedziny historyi cywilizacyi (np. w tomie II, na str. 150, 1, 2, 3, 4); 2) pilne zwrócenie uwagi na stosunek pierwszorzędnych poetów do ogółu, który się okruchami ich twórczości (w kształcie maksym i przysłów), niby chlebem powszednim, karmi; 3) staranne śledzenie dróg etnograficznych, jakie literatura polska w swym rozwoju dziejowym kreśliła.

A. G. Bem.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nasza kolonia i jej szkody.—Mucha szukająca ran.—Stosunki Galicyi wymierzone szczęśliwym powrotem przyjaciół kronikarza *Niwy*. — Jakim sposobem można dowieść, że niema ludożerstwa tam, gdzie ono jest.— Przykłady tolerancyi przekonań w Austryi.— Skargi na ból pod sercem a znajomość rzeczy.—Brak krytyki w prasie naszej. — Rabunek anegdot. — Historya małżeństwa Edisona w dwu postaciach.—Kulczycki papista i Kulczycki królewszczyk.

Wyobrażam sobie, że co dwa tygodnie zbierają się dobrodzieje *Niwy*, przykładają do niej ręce niby do ekierki, a wtedy ona, poruszana siłą niewidzialnego ducha, pisze te mądre słowa, które potem druk uwiecznia p. t. „Sprawy bieżące.“ Trudno bowiem przypuścić, ażeby śród realnych ciał ludzkich istniał człowiek tak skromny, któryby się bodaj pseudonymem nie przyznał do autorstwa tych wspaniałych kart, gdyby je zaczerniał. Wtedy i ja musiałbym zrozumieć, że ponieważ, według niego, dla nas dwóch świat jest za ciasny, powinienem ustąpić i umożliwić olbrzymowi rozparcie się wygodne. Na moje szczęście duchowi nie przeszkadzają ciała będące w przestrzeni, gdyż on może je przenikać i zajmować ich miejsce. Tylko dzięki temu pocieszającemu przekonaniu nie popełniam samobójstwa, pomimo że miłosierniejszy niż słudzy Brutusa p. S. Ostrowski nadstawia mi swą ekierkę ostrym końcem, ażebym się na nią rzucił i przebił. Kto za wiele mówi o innych — jak powiedziano gdzieś — spali sobie język. Język kronikarza *Niwy* stał się wprawdzie węglem, ale pod działaniem prądu elektrycznego, wytwarzanego w maszynie, służącej za motor organu szlacheckiego, płonie żarem co najmniej dwu łojówek i oświetla moje cienie. Nieraz zdaje mi się, że *Prawda* jest chłopską kolonią pod magnackim borem, a ja wstaję rano i widzę, że na jej zagonach tu i owdzie wyrwane warzywa, podryte drzewko owocowe, wykopany dół, rozwalony płot — bo w nocy wyszedł z pańskiego lasu odyniec i nie z głodu, lecz z ochoty zniszczył mi ogród. Czasem upilnuję go i poślę mu nabój, ale co szruciny zrobią grubej skórze! Duchowi z *Niwy* wszystko się u nas nie podoba, bo nawet to, że ktoś z nas wspomni kilkunastoma wierszami o swej wycieczce w kraju lub za granicę. Indyanie powiadają: pszczoła siada na kwiacie, mucha na ranie. Otóż mucha *Niwy* siada na *Prawdzie*, zostawia na niej ślad swej bytności i woła: patrzcie, jaka rana! I wtedy, kiedy pismo nasze jest przez nią popstrzone, ona sądzi, że pokryte plamami tyfusu.

W ostatnim numerze *Niwy* pod naszym adresem znajdujemy: jedno kłamstwo — że „Poseł Prawdy *zwymyślał* prasę warszawską“ za milczenie w sprawie hr. Dąmbskiego i p. Markowskiej; jedno milusie, znaczące i charakterystyczne półsłówko — że „w tej sprawie jest okoliczność, która czyni ją szczególnie sympatyczną dla pism postępowych, ale o tej okoliczności (autor) woli zamilczeć“ i jeden dowód przeciw mojej złej opinii o Galicyi, a raczej o Austryi. Nie będę metodą Bujwida obliczał ilości bakteryj w dwu pierwszych kroplach polemicznych, zatrzymam się tylko nad trzecią. Ponieważ przyjaciele *Niwy*, którzy pojechali na zjazd prawników do Lwowa, „wrócili szczęśliwie, a nawet dosyć sporo wrażeń przyjemnych z sobą przywieźli,“ więc nieprawdą jest: ażeby w tym raju przy pomocy stańczyków krakowskich, ograniczono swobodę osobistą, ażeby konfiskowano książki, mające wolny obieg w całej Europie i gazety za krytykę ojcowskich działań rządu, ażeby więziono ludzi za same przekonania, ażeby ogłupiano i wyzyskiwano lud, ażeby działo się to wszystko, o czem pobieżnie wspomniałem. Jak gdyby „szczęśliwy powrót“ przyjaciół kronikarza *Niwy* ze Lwowa nie był dostatecznem odparciem moich krzywdzących zdań o Galicyi, prokuratorya krakowska skonfiskowała numer miejscowego *Kuryera*, w którym znajdował się przytoczony ustęp z „Liberum veto,“ a sąd przysięgłych uwolnił Wisłoucha i jego towarzyszów, trzymanych przez kilka miesięcy w więzieniu za kontrabandę przechowywaną w.... głowie. Jeżeli teraz ktoś inny stanie przeciw mnie jako świadek z zeznaniem, że zwiedził „szczęśliwie“ podziemia Wieliczki lub wypił w Karlsbadzie przepisaną ilość kubków wody, albo wreszcie jadł kilkakrotnie jajecznicę bez pieprzu (nie powinien tego czynić w państwie czarno-żółtem), nie będę ani bardziej zdziwiony, ani mniej pokonany, niż argumentem kronikarza *Niwy*. Nie twierdziłem bowiem, ażeby w Galicyi nie wolno było zwiedzać Wieliczki, jeść jajecznicy bez pieprzu lub uczestniczyć w zjeździe prawników; ale po za obrębem tych „swobód“ jest jeszcze dość rozległa dziedzina myśli i czynów, w której knebel, cela więzienna i pęta mogą popełnić wiele krzywd i gwałtów. „Szczęśliwie powrócili, a nawet dosyć sporo przyjemnych wrażeń z sobą przywieźli“: Salvado i Boccari z Australii, Gardiner i Thompson z Afryki, Cook i West z Polinezyi — więc w krajach tych niema ludożerstwa. Logika rozbrajająca, ale wątpię, czy po za użytkiem domowym *Niwy* może być komuś przydatną. Bo że ktoś z przyjemnemi wrażeniami i bez odzięBień przyjechał z Grenlandyi, to jeszcze nie dowód, ażeby w okolicach podbiegunowych nie było zimno. Zdaje mi się nawet, że publicysta poważny, zwłaszcza taki, który chce zbijać cudze zdania, powinienby wnosić do sporu większą znajomość rzeczy, niż świadectwo przyjaciół zadowolonych z kilkodniowej wycieczki. Jeżeli sąd mój o Galicyi i Austryi jest nieuzasadniony, niech mi duch *Niwy* odpowie: za co Pawlik, znany literat rusiński, siedział kilkakrotnie w więzieniu? Dnia 8 września r. b. został skonfiskowany *Bregenzer Tageblatt* za następującą notatkę: „Naszym doktorom i chirurgom grozi straszne współzawodnictwo, które niedługo uczyni ich zbytecznymi. Bo oto czytamy w *Wallizer Bot* taki telegram z Lourdes: „Przebywa tu kompania pielgrzymów francuskich. Napływ pątników olbrzymi. Przybyło 21 osobnych pociągów. Już podczas podróży objawiły się cuda. Kulawi chodzą, ślepi widzą, niemi mówią, umierający, który brał kąpiele w Piscynie, przyszedł pieszo do groty, inny kaleka odrzucił kule. Nadzwyczajny zapał!“ Zarówno w Watykanie, jak w pałacu książęcym i chacie biedaka pomoc lekarska będzie odtąd zbytkiem. Nadto my bregencyanie znajdujemy się w szczególnie szczęśliwem położeniu, gdyż prawdziwą wodę z Lourdes możemy otrzymywać na miejscu w pierwszym lepszym kramie.“ Tyle *Breg. Tageblatt*. Jakkolwiek po za sfanatyzowanym tłumem wszystkim wiadomo, że handel wodą z Lourdes i jej mniemane cuda są wielkiem i bezecnem oszustwem wyzyskiwaczów ciemnoty, do którego żaden światły ksiądz ręki nie przyłoży, dziennik uległ konfiskacie za „poniżenie urządzeń kościelnych.“ Otóż proszę mi wskazać w Europie drugie państwo, któreby osłaniało prawem podobne nadużycie i stosowało taką surowość. Austrya, a w niej szczególnie Galicya jest przez to odrażającą, że jest obłudną, że prowadzi podwójną buchhalteryę, że mianuje się państwem swobody, tolerancyi i rzetelnego konstytucyonalizmu, a w praktyce gnębi i tłumi objawy wolnej myśli, nie oszczędzając nawet poważnych badań. Rozumiem, gdy rząd każe wszystkim poddanym wyznawać jakąś religię, ale nie rozumiem, jak można uprawniać bezwyznaniowość i jednocześnie karać za nią — jeżeli np. bezwyznaniowiec w charakterze sędziego przysięgłego nie złoży przysięgi religijnej.

Niech te i tym podobne dziwolągi zbada duch *Niwy*, a wtedy może znajdzie coś więcej do powiedzenia w sporze nad to, jak się powiodła wycieczka jego przyjaciół do Lwowa. Będzie to więcej warte, niż jego obecne koncepty i przygryzki, które sprawiają takie wrażenie, jak gdyby *Prawda* była surową marchwią, którą on co tydzień zjada, a co dwa tygodnie skarży się na bóle — pod sercem. Na taką przypadłość niema innej rady, prócz tej: nie jeść i nie skarżyć się.

Prasa warszawska ma wiele przymiotów i wad wspólnych z zagraniczną, ale jej niekrytyczność w sprawach społecznych jest niebywałą. Jeżeli nie unosi się bozmyślnie, to bąka, wydziwia, grymasi, gdorze, ale do szczerej, szerokiej i gruntownej analizy nie ma odwagi. Dzięki tym szeptom i jąkaniom nie utrzymują się w naszej wyobraźni jakieś fantastyczne ziemie obiecane, a całe życie nasze jest podobne do skrzyni napełnionej rozmaitą, bezładnie zmieszaną monetą, w której miedziak posiada wyższą wartość od dukata, bo zajmuje więcej od niego miejsca. W skrzyni tej mamy znakomitych polityków, estetyków, moralistów, uczonych, o których za lat 50 wiedzieć będą zaledwie ich rodziny i groby. Ten bezkrytyczny chaos zmienia wymiary ludzi i wagę rzeczy, niedołęgi lub blagierzy narzucają się w nim lub narzucani są ciągle uwadze społeczeństwa, małość chodzi na szczudłach, a głupota — w wawrzynie. Cza-

sem dziesięciorzędna siła redakcyjna decyduje o podniesieniu lub zamilczeniu jakiegoś doniosłego faktu, reporter stawia trony i pręgierze, rodzą się bujnie i ciągle sławy jednodniowe, występują tryumfatorzy odbywający uroczysty pochód pomiędzy wyjściem dwu numerów gazety, wreszcie, co najgorsze, z tych złudzeń i błazeństw tworzą się szerokie prądy i całe wyznania wiary politycznej, społecznej lub literackiej. Biedzą się wydawcy nad wymyśleniem nowego typu dziennika, sprowadzają sobie nawet Wrschowetzów, umiejących wynajdywać ukryte źródła dochodu z prenumeraty w... czcionkach, a tymczasem ogół dawno czeka na dziennik rozumny, ruchliwy a krytyczny, któryby nie pchał w swój worek wszystkiego, co po drodze zbierze, któryby zdołał pojąć, że dla czytelników większą posiada wartość doniesienie, iż zaczęło wychodzić w polskim przekładzie dzieło Migneta, niż wiadomość, że ktoś posądził Sarę Bernhard o obcięcie psu łapy. Do takiego dziennika poszłyby najlepsze siły literackie i najliczniejsze zastępy abonentów. Niechże ktoś raz zerwie z tradycyą bezkrytycznego raportowania sposobem stójkowych i obrabowywania prasy zagranicznej z anegdot i plotek, które u nas wychodzą w tylu wydaniach, ile jest gazet codziennych. Czytelnik polski jest dziwnie, zdumiewająco cierpliwy. Jak dalece — przekona mała próbka. Niedawno pisma nasze ni stąd ni zowąd zaczęły opisywać życie Edisona. Jedno z nich, szczególnie chwaląco się wiarogodnemi informacyami, opowiedziało, jak znakomity wynalazca, zatopiony w swych rozmyślaniach, zapomniał zupełnie o kobietach; dopiero *przed dwoma laty* pewien przyjaciel, chodząc z nim po fabryce, napomknął mu o potrzebie ożenienia się; wtedy Edison spojrzał na jedną *biedną* pracownicę swego zakładu, która mu w tej chwili wydała się dziwnie urodziwa, ofiarował jej swą rękę i wkrótce poślubił. Toż samo pismo donosi teraz, że *dorosła* córka Edisona wyjechała do Włoch, że z *pierwszego* małżeństwa ma on jeszcze dwóch synów — dziesięcio i jedenastoletniego, że druga jego żona jest córką *bogatego* fabrykanta maszyn rolniczych, Millera. Gdzie czytelnik porządnego pisma ścierpiałby podobną bezmyślność? A skąd ona u nas pochodzi? Stąd, że się jednego dnia okrada tę, a drugiego dnia inną gazetę zagraniczną. Panowie nakładcy i dziennikarze, w prasie warszawskiej, jest jeszcze miejsce dla nowego pisma codziennego, ale dla takiego, które będzie zupełnie innem nie w papierze, nie w formie, nie w czcionkach, nie w układzie rubryk, ale w zasadach redagowania.

Gdybym był redaktorem podobnego pisma, zwróciłbym uwagę p. Kulczyckiemu na jego nieprzyzwoitość. Wyjednawszy sobie od... Sobieskiego tytuł hrabiowski, a od Piusa IX — szambelański, mąż ten, jako korespondent z Rzymu do jednej z gazet warszawskich (i paru zagranicznych) opiewa bombastycznie wszystkie czyny i uroczystości Watykanu, a lży zaciekle rząd włoski. Jednocześnie wszakże ma on w kancelaryi królewskiej syna, używającego podobno nieograniczonej ufności monarchy, o czem papa z wielką dumą wciska chwalby do rozmaitych dzienników. Człowiek rzetelnych zasad powinien albo nie szkalować rządów króla, albo nie szczycić się służbą syna. P. Kulczycki godzi te przeciwieństwa i mniema, że ojciec u Leona XIII a syn u Humberta mogą sobie wzajemnie nie przeszkadzać ani swą gorliwością, ani blaskami padającymi na nich od dwu zaciętych wrogów i dwu walczących z sobą na śmierć i życie systemów. Moi czytelnicy — czy to jest godziwe i ładne?

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia porusza ciekawą sprawę taryf kolejowych. Według tej gazety Królestwo Polskie, pomimo swojej blizkości względem punktów wywozu zagranicznego, korzysta z bardzo nizkich taryf na produkty surowe. W ten sposób przemysł rolniczy na krańcach zachodnich znajduje skuteczne poparcie, podczas gdy okręgi środkowe państwa, oddalone od granicy, dla których nawet przy tak nizkich taryfach wywóz byłby droższym, musiały ponosić ciężary wysokie. Taki jest ogólny stan rzeczy w państwie. Bardziej znamiennych przykładów szuka *Now. Wremia* w Królestwie Polskiem. Osławiony przemysł sosnowicki — twierdzi ono — albo raczej sosnowickie filie przemysłu zagranicznego, zdaje się, głównie zawdzięczają swój rozkwit polityce taryfowej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która dostarcza im materyałów surowych z zagranicy według takich kosztów przewozu, o jakich w miejscowościach wewnętrznych Rosyi nie słyszano. Wyrobione z surowca zagranicznego żelazo sosnowickie przejeżdża koleją Warszawsko-Wiedeńską oraz innemi w kraju według taryf ($^1/_{15}$—$^1/_{53}$), z jakich w guberniach środkowych nie korzysta nawet sól. Ogromne rozpowszechnienie wyrobów łódzkich, które występuje jako poważny współzawodnik wewnętrznego przemysłu Cesarstwa, zależnem jest również w wysokim stopniu od polityki kolejowej Królestwa Polskiego. Tak np. wyroby bawełniane łódzkie, wartości 16—20 rs. za pud przewożone są według takich taryf, które wewnątrz państwa stosowane są do zboża (wartości od 40—60 kop. za pud). „Wszystko to byłoby bardzo pięknem — mówi pismo ruskie— gdyby koleje Królestwa Polskiego popierały przemysł krajowy na własny rachunek. Tymczasem, wyjąwszy Warszawsko-Wiedeńską, są one gwarantowane przez rząd i przewożąc według tak nizkich taryf materyał surowy zagraniczny dla fabryk, nie pokrywają procentów od akcyj i obligacyj, skutkiem czego rząd musi co rok płacić za ich politykę taryfową. W ten sposób panowie przemysłowcy polscy, zasiadający w zarządach kolei jako dyrektorowie, popierają sami siebie z kieszeni państwowej. Oto kilka cyfr z ostatniego sprawozdania kontroli państwa. Dopłaty do gwarancyj wynosiły: kolej Warszawsko-Bydgoska — 143,581 (w r. 1886) i 76,452 (w r. 1887); Warszawsko-Terespolska w tymże czasie 363,121 i 484,828 rs.; Dąbrowska — 2,181,067 i 2 300,190; Nadwiślańska — 330,374 i 341,711 rs. Tylko jedna niegwarantowana Warszawsko-Wiedeńska, nietylko niema niedoborów, lecz daje dywidendy 15% i więcej, idąca zaś z nią równolegle Dąbrowska nie może się dorachować przeszło dwóch milionów, chociaż łączy te same punkty. Kolej Wiedeńska, jako najstarsza nietylko w Królestwie, lecz i Cesarstwie, zdołała stworzyć wzdłuż swej linii obszerny przemysł, jak np. w Sosnowcu, przemysł pasorzytniczy, żywiący się materyałami zagranicznymi, a nawet obcymi majstrami, czeladnikami, robotnikami itd... lecz dający kolei dochody o tyle pewne, dzięki nizkim taryfom, że nie mogą z nim współzawodniczyć koleje gwarantowane, chociaż i one są szczodre dla przemysłu miejscowego cudzym kosztem.“ Wkrótce jednak zajdą reformy, które do niepoznania mogą zmienić stan rzeczy, naszkicowany przez *Nowoje Wremia*. Departament spraw kolejowych zażądał zupełnego zniesienia od 30 września t. zw. taryf „związku polsko-niemieckiego“ i szlązkiego, które najbardziej pomagały do zalewania Królestwa Polskiego towarami zagranicznymi, w tej liczbie surowymi, które przewożone były według zniżonych taryf nietylko miejscowych, lecz i zagranicznych. Teraz wszystkie tego rodzaju towary będą musiały opłacać taryfy miejscowe, a ponieważ i te ostatnie są bardzo nizkie, więc departament kolejowy zażądał zupełnego ich opracowania i podwyższenia dla przywozu wyrobów zagranicznych. Projekty nowych taryf zredagowano już w komisyi specyalnej, przyczem wydano decyzyę na korzyść podwyższenia. Tak np. od towarów rękodzielniczych postanowiono określić najwyższe taryfy, na jakia tylko dozwalają ustawy okręgu warszawskiego. Od żelaza taryfa przyjęta jest w wysokości $^1/_{24}$ kop. od puda i wiorsty, co np. wynosi 5 kop. od puda na takiej przestrzeni, jak Sosnowiec-Warszawa.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy administracyjne. Z powodu oszczędności zaprowadzonych w budżecie państwowym, przystąpiono do zniesienia czterech Izb skarbowych w Królestwie Polskiem. Dawniej jeszcze zmniejszono liczbę pocztowo-telegraficznych zarządów okręgowych, zarządów dóbr państwowych, akcyzy; obecnie zaś jest na dobie sprawa zmniejszenia liczby inspekcyj naukowych, które znajdują się w każdej gubernii. Przy zwiększaniu terytoryum tych instytucyj, zmniejszonych liczebnie, postanowiono zcentralizować w Łodzi zarządy dla gub. piotrkowskiej i kaliskiej (wspólna Izba skarbowa, inspekcya naukowa itd.), w Radomiu — kieleckiej z radomską, w Lublinie — lubelskiej z siedlecką, w Łomży—płockiej, łomżyńskiej i suwalskiej.

Chmielarstwo. Kijowskie Towarzystwo rolnicze czyni starania w ministeryum dóbr państwa o pozwolenie na otwarcie komitetu pomocy dla chmielarzy w kraju południowo-zachodnim. W zakres działalności komitetu ma wchodzić: 1) zbieranie wiadomości o stanie chmielarstwa w danej chwili; 2) rozpowszechnianie racyonalnych wiadomości o chmielarstwie za pośrednictwem wydawnictw przystępnych, narad, stacyj doświadczalnych itd.; 3) ustanowienie prawidłowych systematycznych stosunków pomiędzy chmielarzami a piwowarami; 4) tworzenie stacyj doświadczalnych; 5) wydawanie organu poświęconego piwowarstwu i chmielarstwu.

Koleje. Ministeryum komunikacyi, przychylając się do podań przemysłowców ze Zgierza i Pabjanic, przystało na budowę projektowanych dwóch linij kolejowych z Łodzi do Zgierza i Pabjanic. Koncesyę otrzyma Towarzystwo kolei Fabryczno-Łódzkiej. Budowa ma być rozpoczęta w roku przyszłym.

— Zamierzono budowę kolei żelaznej, mającej służyć za przedłużenie linii Nowogrodzkiej od Starej Rusy do Witebska.

— Ministeryum komunikacyi zajęło się rozpatrzeniem projektu kupiectwa co do połączenia kolei Griazko-Carycyńskiej z Władykaukazką (od Carycyna do stacyi Tychoreckiej).

Zmiana kary. Departament kasacyjny senatu rządzącego zreformował stopień kary stosowanej do osób w wieku podeszłym, które schwytane zostały podczas ucieczki z miejsc zesłania. Dotychczas osoby takie podlegały karze robót ciężkich na trzy lata i karze cielesnej (od 30 do 40 uderzeń). Obecnie w razie schwytania podczas ucieczki karane będą więzieniem od 4 do 5 miesięcy, bez stosowania kary cielesnej.

Egzaminy państwowe. Poruszono sprawę zmiany charakteru uniwersyteckich komisyj egzaminacyjnych. Studenci zdawać mają egzamin państwowy tylko z przedmiotów głównych.

Szkoły. Zatwierdzenie projektu wyższej szkoły politechnicznej w Warszawie odpowiednie władze postawiły w zależności od zupełnej organizacyi szkół przemysłowych w kraju.

— Według najświeższej ustawy przepisy dla szkoły górniczej w Dąbrowie są następujące: Zapisywać się mogą młodzieńcy od 16 do 20 lat, tutejsi poddani, wszystkich stanów i wyznań (z wyjątkiem żydów), ze świadectwem z ukończenia dwóch klas szkół elementarnych wiejskich: nadto powinni zdać zadawalający egzamin z jęz. ruskiego i arytmetyki. Prócz tego wymaganą jest jednoroczna praktyka w kopalni lub fabryce. Pierwszego rodzaju praktykanci kształcą się na sztygarów, drugiego — na monterów. (Obecnie lista kandydatów jest zamknięta cyfrą 80). Praktyka wymagana będzie także po ukończeniu szkoły, potem dopiero wydawane będą świadectwa na sztygarów lub monterów. Oprócz powyższych kwalifikacyj rada szkolna będzie uwzględniała świadectwa równoznaczne trzem klasom szkół realnych lub miejskich. Otwarcie pierwszego kursu szkoły ma nastąpić w początkach przyszłego miesiąca.

— Roztrząsaną jest obecnie sprawa przekształcenia nadbałtyckich żeńskich zakładów naukowych

według modły podobnych zakładów w innych częściach państwa.

— Studenci warszawskiego Instytutu weterynaryjnego, opuszczający zakład w ciągu roku, mogą być, według nowej ustawy, przyjęci na nowo do zakładu od początku roku akademickiego, lecz na ten kurs, z którego wyszli, nie podlegając żadnemu egzaminowi, jeżeli od chwili opuszczenia Instytutu nie upłynął rok. W przeciwnym razie składają egzamin ze wszystkich przedmiotów.

— W szkole technicznej przy warsztatach drogi Warszawsko-Wiedeńskiej wprowadzono naukę telegrafii.

— Irlandya otrzyma wkrótce wszechnicę katolicką, zupełnie odrębną od istniejącego w Dublinie uniwersytetu królewskiego.

— We Freiburgu szwajcarskim będzie otwarty z d. 15 listopada wydział prawny i filozoficzny uniwersytetu wyłącznie katolickiego.

Rubel. Minister skarbu postanowił, że od 1 października r. b. do 1 stycznia r. p. rubel srebrny ma być uważany za 70 kop., papierowy zaś lub bilonem — 65 kop.

Kredyt krótkoterminowy. Komisya, utworzona przy ministeryum spraw wewnętrznych dla zbadania kwestyi upadku cen na produkty wiejskie, opracowała pomiędzy innymi projekt o udzielaniu kredytu krótkoterminowego gospodarzom wiejskim. Uznano za konieczne dopuścić przyjmowanie weksli właścicieli ziemskich według przepisów ogólnych w Banku państwa, w którym właściciele tacy mają posiadać otwarty rachunek bieżący, zabezpieczony świadectwem zastawnem gruntów. Jednocześnie wprowadzone będzie dyskonto weksli, zabezpieczonych majątkiem ruchomym pożyczającego, bez wymagania, ażeby dłużnicy oddawali ów majątek na depozyt do składów bankowych, lecz pod groźbą odpowiedzialności kryminalnej za całość ruchomości zastawionych.

W ministeryum sprawiedliwości opracowano projekt przepisów, ograniczających przyjmowanie żydów do składu adwokatury przysięgłej.

Wystawy. W Janowie odbyła się wystawa koni włościańskich.

— W maju odbędzie się w Kazaniu wystawa przemysłowo-rolnicza. Obejmie ona głównie Rosyę wschodnią i Syberyę.

— Wystawa rolnicza odbywa się w Smoleńsku. Zwracają tam uwagę wyroby uczniów szkół wiejskich.

— W ciągu zimy odbędą się w Petersburgu wystawy: psów myśliwskich i pokojowych, oraz przedmiotów łowieckich.

— W roku przyszłym będzie urządzona w Odesie wystawa fotograficzna,

Przeciw posuchom. Ministeryum dóbr państwa pracuje nad projektem zapobieżenia posuchom na południu Cesarstwa, głównie za pomocą zadrzewiania stepów.

Katastrofy. W prowincyi Kii, w południowo-zachodniej Japonii, skutkiem przerwania się grobli, kilka miast zupełnie zniknęło z powierzchni ziemi, inne uległy zburzeniu. Przeszło 15,000 osób zginęło.

— W mieście Quaebeek w Ameryce ze stoków cytadeli, wznoszącej się o 300 stóp nad miastem, runęły nagle olbrzymie odłamy skał, ważące kilkaset tysięcy centnarów i stoczyły się na ulicę. Siedem domów, zamieszkałych przeważnie przez robotników portowych, zniknęło pod gruzami, Ogółem zginęło 200 osób.

— Straszna ulewa nawiedziła niedawno Neapol i zalała miasto w znacznej części, do czego się przyczyniło zatkanie kanałów. W jednym z domów, podmytych przez wodę, zawalił się balkon, skutkiem czego dwie osoby utraciły życie.

— W Medyolanie zawalił się dach pięciopiętrowego budującego się domu. Zginęło 24 robotników, 13 zaś ranionych.

— Teatr w Mantui spalił się. Dwie osoby utraciły życie.

Bibliografia. J. Rostafiński, *Szkice ze świata przyrody* — z Algieryi. Serya druga, Kraków, str. 305.

— W. Rapacki, *Trefniś*, nowele, obrazki i szkice. Warszawa, str. 177.

— *Kalendarz „Wieku"* na r. 1890 — jeden z najlepszych pod względem informacyjnym.

— M. Wołowski, *Encyklopedya humoru*, zeszyt 1.

Zmarli. Aleksander Walther, inspektor lekarski szpitali warszawskich. Był poprzednio profesorem w uniwersytecie kijowskim.

— Julian Kołaczkowski, inżenier kolei Karola Ludwika, autor kilku prac z zakresu archeologii.

— Günther Fryderyk Karol, książę Schwarzburg-Sonderhausen, do r. 1880 panujący w księstwie tegoż imienia.

— Karol Lange, w Krakowie, b. poseł do parlamentu austryackiego, człon. nadzor. Akad. umiejętności.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pann J. B, w Warszawie. Nazwisko człowieka tak nasiąka nietylko jego sławą dodatnią, ale i ujemną, że nie potrzebuje objaśnień i samo przez się jest wymownem.

Pani W. Kr. Które z pism warszawskich jest najtańszem, nie umiemy ściśle oznaczyć, gdyż wymagałoby to szczegółowego rachunku porównawczego. „Najtańszemi" mianują się same: *Kuryer codzienny* i *Warszawski*, *Ziarno*, *Dziennik dla wszystkich*, *Gazeta świąteczna* i inne. Są amatorzy obliczający wyrazy w poematach, może więc znajdzie się taki, który wykaże cyframi najniższą cenę w naszej prasie.

Odynowi. Pani Ćwierciakiewicz, dowodząc, że tylko kobiety brzydkie w teatrze siedzą w kapeluszach, może wynalazła najskuteczniejszy sposób usunięcia tej czysto naszej plagi. Podobnie St. August, gdy powozy dwu dam spotkały się w wązkiej uliczce i żadna nie chciała cofnąć się, poradził, ażeby młodsza ustąpiła starszej. Natychmiast obie kazały woźnicom zawrócić.

Stud. medycyny. Jest podręcznik Murraya miernej wartości.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Сентября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.